Nr. 28. Warszawa, dnia 15 (3) Lipca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Administracya „Prawdy“ od dnia 8 b. m. mieści się przy ulicy Żórawiej nr. 34, na dole.

POLITYKA.

MAŁA REWOLUCYA.

Nie zawsze w treściwych doniesieniach telegrafu odgadnąć możemy, jak dalece jego ogólnikowe wyrazy zawierają w sobie treść różnolitą. Według dosłownego brzmienia depesz pierwotnych, studenci, rozjątrzeni na rząd, który im zabronił jakiejś tam wystawy, a następnie oburzeni śmiercią swego kolegi w starciu z policyą, wznieciłi płomień rewolucyi, który ogarnął cały Paryż. W późniejszych telegramach czytaliśmy, że ze studentami połączyli się socyaliści, potem wypłynęli na wierzch anarchiści, a wreszcie ostatnie wiadomości poinformowały nas, że głównym czynnikiem zamieszek był „motłoch“ i że studenci wraz z socyalistami pomagali policyi w tłumieniu jego dzikich wybuchów. Kto więc właściwie zrobił w Paryżu małą rewolucyę? Rzeczywiście wszystkie te żywioły razem i jeden drugiemu podawał pochodnię buntu. Nie badamy tu zasadności pretensyj studenckich, zresztą zdala uczynić byśmy tego nie mogli. Ale nawet nie badając akt śledczych tej sprawy, trudno przypuścić, ażeby studenci chcieli zrobić jakąś rewolucyę szerszej skali. Tego rodzaju wybuchy dobywają się zawsze z łona pewnych warstw społecznych i stronnictw politycznych, a nie ze zbiorowisk pierwiastków różnorodnych. Wszakże uczniowie uniwersytetów — to nie rzemieślnicy, robotnicy lub rolnicy, ludzie związani pewnym programem i pasmem wspólnych interesów, lecz mieszanina, w której znaleźć można i monarchistów, i republikanów i radykalnych demokratów, słowem, wszystko to, z czego się składa społeczeństwo francuskie. Od nich więc wyjść mogła tylko pierwsza pobudka do rozruchów, których ogień rozdmuchały już inne usta i piersi. Czyje? Zamknięcie giełdy pracy i syndykatów robotniczych za nieposłuszeństwo prawu świadczy, że ich członkowie wystąpili do walki z rządem. Wtedy zaczęto burzyć kioski, przewracać omnibusy i wydzierać płyty kamienne z bruku dla utworzenia barykad, wtedy wrzenie przybrało charakter groźny. Dziwić się temu nie można. Naprzód Paryż jest opanowany przez żywioły radykalne, powtóre Rzeczpospolita, zatopiona po uszy w polityce, zbyt mało dotąd zrobiła w dziedzinie społecznej i lekceważy kwestye, które gdzieindziej są przedmiotem ciągłej troski; nareszcie cały szereg gorszących odkryć, który zniesławił obecną Izbę, musiał rozpalić namiętności w masach.

Gdzie tylko szerzy się pożar, gdzie tylko powstaje zamęt i wiry, tam motłoch wielkomiejski natychmiast przebiega ze swą niszczącą siłą i nadaje każdej walce kierunek dziki. Ten straszny nurt, który w chwilach spokoju drzemie w głębiach życia, niewidziany i nierozumiany, rozrywa najmniejszy otwór i wydziera się zeń lawą zagłady. On nie ma określonych pragnień, celów, nawet nienawiści lub sympatyj, on jedynie chce nasycić się gwałtem, rozbojem, grabieżą i spustoszeniem. Daremnie więc pytalibyśmy go, co zamierzał osiągnąć, zapalając domy, rabując sklepy i przeciwstawiając się natarciom wojska, jak daremnie pytalibyśmy burzy, dlaczego rozhulała się w zniszczeniu.

I oto mamy przed sobą główne momenty małej rewolucyi paryskiej: rozpoczęli ją studenci, wzmocnili robotnicy, a rozkiełznał motłoch. Sprowadzone do Paryża pułki uśmierzyły naturalnie zamęt, którego skutki nie tyle są wielkie, ile pouczające, zawarły bowiem w sobie ostrzeżenie, że Dahomej, Egipt, Alzacya z Lotaryngią, doskonalsze karabiny i armaty nie są jedynemi sprawami, nad któremi francuscy mężowie stanu rozmyślać powinni.

Po każdej takiej awanturze musi się znaleźć kozioł ofiarny, a najczęściej we Francyi jest nim prezes gabinetu. Zarzucają mu więc, że pozwolił rozszaleć się żywiołom burzliwym i nie zdusił ich wcześniej. Jest to zwyczajna śpiewka mądrych po rozegraniu się dramatu, której melodya służy rozmaitym, zależnym od wypadku librotom. Gdyby p. Dupuy kazał był wcześniej wystąpić wojsku, a zwłaszcza gdyby padło było kilka ofiar, oskarżono by go o srogość i okrucieństwo. Ponieważ tego nie zrobił w nadziei, że sama policya stłumi wrzenie, ulega teraz naganie za powolność. Niezmiernie przytem znamienna jest racya sarkań opinii, strzegącej porządku publicznego. Mniej gniewa się ona o zniszczone bruki, zburzone kioski i omnibusy, a nawet o rozlaną krew i wyrządzone krzywdy, mniej ją boli, że naród nosi w swem wnętrzu chorobę, niż to, że rozruchy paryskie sprawią złe wrażenie za granicą. We wszystkiem polityka i wszystko na wywóz! Nawet z rewolucyi wyrabiają się *articles de Paris.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zakończył już sejm pruski swój pięcioletni okres prawodawczy, zapisawszy na karcie dziejów własnych chwałę ministra Miquela, który z nim przeprowadził reformę podatkową. Niepomni tylu zawodów liberałowie i radykałowie wszelkich odcieni obiecują sobie, że przy następnych wyborach złamią większość „klerykalno-konserwatywną,“ która panuje wszechwładnie. Zdaje nam się, że „najnędzniejszy ze wszystkich sy-

stemów wyborczych“ — jak go nazwał Bismark — udaremni te zabiegi i rozproszy te złudzenia.

Sejm niemiecki obraduje szybko nad projektem wojskowym, tak szybko, że go aż nawet hr. Caprivi zachęcił do kilkodniowego odpoczynku. W czwartek lub piątek (rezultatu w chwili pisania nie znamy) ma nastąpić głosowanie. Jakkolwiek centrum ciągle się dąsa i podstawia w zamian za ustępstwa swój wniosek o powrocie jezuitów, rząd już nie wątpi, że pociągnie za sobą większość. Wszystkie mowy opozycyi brzmią już daleko łagodniej, bądź skutkiem pewności, że ataki są daremne, bądź skutkiem osłabionego poczucia siły, co zwłaszcza ujawnia się śród postępowców. Stracili oni połowę mandatów, naród odmówił im swego poparcia, musieli więc spuścić z tonu. Rzuca się jeszcze Richter, usiłuje sofizmatami obronić doznaną porażkę, ale to już nie jest dawna buta i twardość. Ostatecznie projekt wojskowy przejdzie w postaci propozycyi Huenego z niewielkiemi zmianami. Nie mogąc go obalić, stronnictwa opozycyjne usiłują przynajmniej zmusić rząd do ujawnienia swych zamiarów w przedmiocie pokrycia wydatków na pomnożoną armię. Hr. Caprivi odmawia wyjaśnień szczegółowych, zapewnia tylko, że nowe podatki nie obciążą klas uboższych. Ponieważ zaś konserwatyści otrzymali podobno rękojmię, że brzemię to nie spadnie na rolników, a narodowo-liberalni spodziewają się zabezpieczyć kieszeń przemysłowców, więc nie wiadomo, kto dostarczy pieniędzy na utrzymanie 70,000 żołnierzy.

Ks. Bismark resztę życia poświęca na zwalczanie ostatnich dogmatów swej polityki, których jeszcze obalić nie zdołał. Zdaje się, jak gdyby czuł nieodzowną potrzebę zburzenia całego systemu reguł, jakiemi się kierował, stojąc u steru władzy. Wiadomo, że jednym z przedmiotów szczególnej jego nienawiści, szykany i złorzeczenia był separatyzm drobnych państewek niemieckich, a jednem z najupartszych dążeń — pochłonięcie ich przez Prusy. Otóż teraz przesunął lewar swej lokomotywy w przeciwną stronę i jedzie w kierunku wstecznym. Według niego drobne państewka za mało strzegą swej odrębności i pozwalają pożerać się Prusom. Co wtedy było w jego oczach czarne, teraz jest białem — i naodwrót.

Młodo-czesi uważają ten dzień za stracony, w którym nie stoczą jakiejś walki. I znowu z powodu rocznicy śmierci Husa wybuchły zaburzenia uliczne w Pradze. Studenci obrzucili kamieniami uniwersytet niemiecki i starli się z policyą. Nie obeszło się naturalnie bez ran i aresztowań.

Uchwała, ograniczająca rozprawy nad bilem irlandzkim i zapobiegająca przeciąganiu ich do nieskończoności, nadała obradom żywsze tempo, które może nareszcie doprowadzi je do końca.

Syn księcia Walii, przyszły (po swym ojcu) następca tronu, poślubił księżniczkę Teck, która miała być żoną jego zmarłego brata. Obchód weselny odbył się z nadzwyczajną wystawnością.

LITERATURA I SZTUKA.

LTERATURA FRANCUSKA.

P. Bourget. *Le Scrupule* (Skrupuł). Paryż 1893.

Po banalnych dwu powieściach: *La Terre promise* i *Cosmopolis* zdawało się, że z niwy Bourgeta chwast nie zejdzie. Głuszył wszystko i tylko zagadnieniom dzieci z cudzołóstwa, miłości zabronionej i religii chrześciańskiej pozwalał nadwerężać swe wiechy. Odrobina pierwiastku społecznego w pismach autora *Kłamstw* zanikła.

Przed trzema miesiącami jednak zaczął drukować w *Echu paryskiem* nowelę średnich rozmiarów p. t. „Mała siostra dużej Aliny.“ Obecnie wyszła ona w osobnym tomie, a tytuł jej autor zmienił na „Skrupuł“ bardzo udatnie. Nieduża ta książka, 150 stron nieprzechodząca, daleko więcej warta, niż *Cosmopolis* i *Ziemia obiecana* razem wzięte.

Jest to kwiat, który wyrósł obok burzanu, a do tego zupełnie niespodzianie. Grunt ten sam, więc i soków trochę dawnych wciągnął. Bohater wierzący, a zarazem powątpiewający, z pięć razy mowa o szukaniu, wyzyskiwaniu lub smakowaniu wrażeń, rozumowanie na temat nerwów, przygoda prawie że cudzołożna, słowem, dość tego, czego u Bourgeta za dużo. Ale nowego bardzo wiele. Na dwie strony dawne, osiem świeżych.

Forma notatek dziennikowych. Jedna z 7 stycznia 188..., druga w dziesięć dni potem. Pisze bogaty Franciszek Vernantes, z którego „papierów“ autor „ogłosił“ w „Pastelach“ Panią Bressuire, w „Nowych pastelach“ Marcela. Spotkanie ze znajomym, podtatusiałym już Mazurierem, zakomunikowanie mu przez tegoż chęci widzenia się z nim pewnej Bianki de Saint-Cygne, wreszcie napomknięcie, że ta każe przypomnieć mu się jako „mała siostra dużej Aliny,“ budzi w jego umyśle po powrocie do domu szereg wspomnień, które poczynają wrzeć i kotłować a Vermantes poprawiwszy ogień na kominku, bierze pióro do ręki.

Piętnaście lat temu, w wieczór Bożego Narodzenia, trzech przyjaciół zaprosiło Franciszka na biesiadę, urządzoną w jednej z restauracyj dzielnicy łacińskiej. Wszyscy trzej przybyli z metresami, czwarta kobieta, którą przyprowadzili, była „wolna.“ W przeciągu kilku godzin oboje wolni zaprzyjaźnili się, a po dwunastej Alina przyjęła propozycyę Franciszka odprowadzenia się do domu.

Ulica, na której mieszkała, leżała przy Jardin des Plantes, dom był stary, o schodach zabłoconych, ledwie woskowanych. Weszli oboje na drugie piętro, Alina wydobyła klucz i otworzyła mieszkanie.

Mieszkanie wychodziło na ogród, pokój sypialny przytykał do salonu, za salonem jadalnia. Alina zaczęła zdejmować suknie, w tem przy szafie zwierciadlanej Franci dostrzegł bucik.

Za mały był na nogę kobiety dorosłej, za duży na nogę dziecka. Zdziwiło go to.

Spytał, czyj?

— Mojej siostry. Siostrze, małej wieśniaczce z Anjou źle było w domu. Ojciec bił, brat pomagał, matka nie broniła. Otóż zabrała ją do siebie. Zostanie u mnie—myślała. Dziecko wychowane na wsi nie odgadnie dobrze mego rzemiosła. A nim podrośnie, złożę jej paręset franków i dam potem w ręce, niech wraca do siebie, poszuka męża poczciwego i ujdzie złej doli, jaka mnie spotkała.

— I nie domyśla się niczego?

— Nie. Śpi zawsze jak zabita, w dzień gotuje mi i służy, jak może. Złota dziewczyna.

Wyjąwszy z zanadrza złoty łańcuszek, włożyła go w bucik siostry. Jest bowiem

---

7)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Było to w kilka dni po przybyciu owego „dziecięcia Jezusowego“ z Heialandu — małej, smagłej dziewczynki, której na imię było Jorina. Siedzieli sobie wieczorem przy lampce tranowej; Enoch składał klepki na beczki, Anna i Marta przędły, Gunnar i Serina uczyli się, Jorina czesała wełnę.

Nagle Marta parsknęła śmiechem. To, o czem myślała, musiało być tak komiczne, że dłużej powstrzymać się nie mogła.

— Cóż mam robić, muszę się śmiać — mówiła, a potem zaczęła opowiadać.

Stała dziś przy studni; wtem nadchodzi ten napół zwaryowany student, Olsen. Miał długi surdut, cylinder i laskę, a był taki sztywny i wyprostowany, że tylko się dziwić. Tymczasem droga była pełną śniegu, tak że nijak nie mógł się wykręcić. Zachowywał swój wielkopański humor, szedł z głową w tył odrzuconą, z nosem w górę, ale że grzązł w błocie i śniegu, więc mina jakoś niezupełnie dobrze mu się udawała. Ach, było to śmieszne, no!.. Lecz hi-hi! — ślizko musiało być na drodze, czy też co, hi-hi! — odrazu przewrócił się, jak długi — plecami na śnieg, a nogami w górę, kapelusz w jedną stronę, laska w drugą; i jak zacznie kląć i wyzywać, aż skry leciały, hi, hi, hi! Śmiałam się, że aż mnie wszystko bolało!

Wszyscy się śmieli, tylko Enoch siedział surowy, poważny, przybijając swoją obręcz. Po chwili przestał i spojrzał wokoło.

Zrobiło się cicho. Każdy wziął się znowu do pracy; Marta pokraśniała, puszczając w bieg wrzeciono.

— Śmiać się nie powinniśmy — wyrzekł. Jezus nigdy się nie śmiał.

— Tak, gdybyśmy się z nim mierzyć mogli... Anna zatrzymała wrzeciono, targała motek.

— Powinniśmy pójść za jego przykładem. A nadto nie wolno nam zapominać, że w dzień sądu przyjdzie nam zdać rachunek z każdego zbytniego słowa, któreśmy wymówili.

Wrzeciona turkotały, jakby na wyścigi.

— W moim katechizmie stoi — wyjąkała wreszcie Jorina, wahając i rumieniąc się.

— No i cóż tam stoi?! — zapytał Enoch wesoło; podobało mu się to „dziecię „Jezusowe.“

— Stoi: każde nieprzystojne słowo, któreście wyrzekli... hm!.. była czerwona, jak ogień.

— Ach, toś i ty dostała fałszywy katechizm. Więc spalże go, Jerino. Kupię ci nowy, jak tylko do miasta pojadę.

Anna i Marta siedziały i patrzyły.

— Co mówisz, nowy katechizm jest niedobry?

— Istnieją dwa nowe; jeden z nich jest prawdziwy, lecz drugi fałszywy.

— Czemuż im wolno coś podobnego wydawać?

— Wiedzą, że wkrótce przyjdzie czas fałszywych Mesyaszów i proroków. A ci będą tak przebiegli, że skusiliby nawet wybranych, gdyby to wogóle było możebnem. Ten pastor Wexels też jest chyba takim fałszywym prorokiem. Bóg zmącił mu umysł, więc wierzy w kłamstwo.

— To byłoby strasznem.

Wrzeciona znowu zaczęły turkotać.

— Ach tak! — westchnął Enoch — to jest straszne. Prośmy tylko Boga, by nas strzegł... i ratował od złego.

— Moje dzieci — mówił dalej — do szkoły chodzić nie będą, ani ty, Jorino! Boimy się dzieciom dawać truciznę. Sam was uczyć będę. Bóg użyczy mi na to cza-

zwyczaj we Francyi na gwiazdkę kłaść podarki w trzewiki.

Franciszek otworzył również pugilares i wpuścił do bucika bilet stufrankowy.

Nazajutrz Bianka przyniosła mu do łóżka kawę. W jej oczach nie można było wyczytać domysłów.

Lecz Franciszek w duszy temu nie wierzył i oburzony, że niewinną dziewczynę Alina trzyma przy sobie, ubrał się śpiesznie i wyszedł.

W tydzień oburzenie rozchwiało się. Przypomniał sobie znowu Alinę, odnalazł w jej zachowaniu się i istocie coś szczerego, sympatycznego i kupiwszy u złotnika dwa piękne pierścionki dla niej i siostry, zaszedł na rue Linné.

Alina leżała ciężko chora — zaziębiła się kilka dni temu. Gdy Franciszek zaprosił do niej swego przyjaciela, zdolnego dokrota Louveta, ten oświadczył, że niema ratunku. Od pójścia na pogrzeb coś go odciągało. Lecz po pogrzebie zaszedł do mieszkania zmarłej. Bianka paliła listy siostry.

— Cóż pani myśli robić teraz? — pytał.

— Nie wiem. Może zostanę, tak żal mi tego mieszkania. Jeden ze znajomych ś. p. siostry, pan Bertrand, zdaje mi się żonaty, ofiarował mi pomoc.

Pomoc. Wiadomo jaką pomoc. Kilkadziesiąt franków, a za to najpierw pocałunki w czoło, potem klepanie po twarzy, potem wzięcie w pół i dalej cały szereg następnych pieszczot starca...

Franciszek wzdrygnął się. Czuł wiele przyjaźni dla Bianki, żal mu jej było.

— Posłuchaj — rzekł do niej. Lubisz mię, wiem o tem. Więc zrób, o co cię proszę. Nie bierz nic od p. Bertrand, nie płać długów, ani mieszkania. Ja jedne i drugie zapłacę. Ty zaś wracaj do domu. Możesz pozostać uczciwą, wierz mi.

I Bianka pojechała do rodziców.

A jednak dziś jest ona kurtyzaną...

Bo w domu bili, matka do Paryża na służbę wyprawiała. Wreszcie znalazł się student paryski, który ją rozkochał i powiózł do Paryża. W stolicy roztoczyła skrzydła.

Lecz w sercu jej tlała miłość dla tego, co jej dobra życzył.

Opowiedziała o tem Franciszkowi, w dziesięć dni potem jak napisał pierwszą notatkę, na uczcie u Mazuriera. Teraz była to kobieta dojrzała, pełna róża. We Franciszku starły się w walce uczucie dawne, szlachetne i namiętność.

— Pojedziesz ze mną? — spytała.

— Dobrze.

— Więc wyjdź prędzej i czekaj na rogu alei. Moja przyjaciołka zadenuncyowałaby mię do Brévesowi, gdybyśmy wyjeżdżali razem.

Utrzymywał ją Brèves.

Za kwadrans na rogu alei stanął powóz. Franciszek usiadł obok Bianki. Powóz przejeżdżał już przez Łuk tryumfalny, oni jeszcze ani słowa z sobą nie zamienili. Wreszcie on wziął ją za rękę i pocałował.

Nie oddała mu pocałunku. Myślała o czemś i zęby zacięła. Potem pochyliła głowę na jego ramię i spytała:

— Pamiętasz pan, jak jechaliśmy po raz ostatni razem?

— Pamiętam. Na dworzec orleański.

— Mój Boże. A ja wtedy chciałam tak położyć głowę na pańskiem ramieniu i nie śmiałam.

Umilkli, ona opuściła powieki, on siedział nic nie mówiąc. Wreszcie powóz zatrzymał się przed jej domem. Bianka wyszła pierwsza.

— Idziesz pan ze mną?

— Nie — odrzekł. Nie — powtórzył — siostro.

Wtedy, jak ongi, kiedy Franciszek dawał jej jeden z pierścionków kupionych dla niej i Aliny, Bianka chwyciła go za rękę i zanim spostrzegł się, ucałowała ją z słowami:

— Ach, dziękuję!

Unosi się nad tym utworem niby zapach kwiatów polnych. Nie widzimy tu brwi malowanych, ani dandysów goniących za rozrywkami, nie czujemy wyziewów izby szynkowej. Bo na ściany tej restauracyi, na suknie tych kobiet i mężczyzn autor rzucił kilka tymianków dzikich i majeranku i pęk kwiecia lipowego. Bo duszę Franciszka, Aliny i Bianki ukazał, a na dnie każdej coś świetlanego.

Zalety stylu, udatność przenośni, trudno tu podnosić. Bourget nie tęgi stylista. Lecz za co po osnowie i przewodniej myśli należy mu się uznanie, szczere uznanie, to za postać dobrej, kochającej siostry, chociaż „lekkiej“ kobiety, Aliny. Bronili „upadłej“ ludzie, jak Goethe, Dumas, Petöfi, Dostojewski, ich Maryanna, Dama kameliowa, Sonia, „panna“, która zmarzniętego bierze do swego powozu, a potem w rękę mu wtyka złotą monetę, rehabilitowały ją wielokrotnie. Ale nie zaszkodzi i teraz, dopóki istnieje sprzedawanie się kobiety, dopóki nie rozumie społeczeństwo istoty tego sprzedawania się, przypominać mu, że istnieje śród tych nieszczęśliwych wydziedziczonych wiele Alin, o, bardzo wiele. Wiele z nich myśli o swoich matkach, siostrach i córkach.

Tak.

„Mama sądzi, żem szwaczką... A ja zebrawszy posag Biance, poszukam jej porządnego chłopca, aby nie była, jak ja...“

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Czesław (Cz. Jankowski). *Rymów nieco.*

Charakterystycznie nazwał autor ostatnią wiązankę swych pieśni. Tytuł ten odrazu ujawnia jego skłonności, zakres poruszanych przedmiotów, zadania i cele. Muza jego nie jest wieszczką uroczystą i wysoko nastrojoną, nie przybywa on do nas na wspaniałym Pegazie z obłocznych krain natchnienia. Nie ma zamiaru ujmować ducha człowieczego w ramy własnej myśli, być ciekawcem, zaglądającym aż do najtajniejszych zakątków serca ludzkiego. Czesław odczuwa świat widzialny i namacalny, co prawda w zakresie mało przestronnym. Poezya jego nie jest martwym kurzem. Wrażenia świata zewnętrznego podaje z zachowaniem migotliwości blasków, drgające życiem. Nerwy jego poetyckie są harfą strojną, lecz nie wiele budzą strun w duszy naszej i wstrząsają tylko zewnętrznymi jej pokładami. Nie jest „rycerzem serca wspaniałego,“ heroldem haseł przyszłości, lecz raczej błędnym rycerzem salonów i buduarów. Artysta rozwinął przed nami barwne girlandy rymów, dźwięcznych, melodyjnych; dużo w nich śpiewności i muzykalności. Pieszczą ucho, wlewają promienie poetyckie do duszy, lecz nazbyt silnie dźwięczą powiewną płytkością. We wstępie twierdzi Czesław, że poezya „Wśród ciżby ludzkiej dziś obchodzi ziemię i tem dziś częściej gości między nami.“ Ale jego poezya rzadko zagląda do ciżby ludzkiej. Lubo autor zaprzecza temu we wstępie, mimowiednie wykrzykuje je-

---

su, gdy zobaczy, jak bardzo to jest potrzebnem.

Anna spojrzała z ukosa na Gunnara; jakiż wzrok pełen złości rzucał chłopak na ojca.

X.

Marta została, póki na świat nie przyszło piąte; potem odeszła.

Enoch był zadowolony. Wreszcie uwolnił się od świata; wszystko więc, co było dawniej, zostało usunięte, wszystko było teraz nowe; dom jego był teraz odgraniczony, bezpieczny, niby świątynia, niby miasto wolne.

Dnie mijały, a Enoch wciąż jeszcze przebywał na górze Tabor.

Wiosnę miał teraz w sercu. Wszystko rosło i zieleniło się; było w nim ciepło, płodnie i żywotnie, pełno w nim było zadowolenia, współczucia i siły miłosnej.

Tak mu teraz dobrze było, że czasem aż sam się dziwił. Byłoż to naturalne?

Spodziewał się był walki i udręczeń, a tu prawie wciąż przebywał na górze Tabor. Wszystko szło mu tak lekko, tak przedziwnie lekko; czyż nie był godnym doświadczeń poważnych?

Nadchodziła wiosna. Anna zapytała, w jaki sposób zaorze bez parobka?

— Ojciec niebieski da sobie z tem radę! — odparł i wiara jego nie została zawiedzioną.

Enoch czynił ubogim wedle przykazania, pożyczał im jadła i nasienia; teraz Bóg go wynagradzał. Przychodzili jeden za drugim, ofiarując się płacić mu pracą za to, co im pożyczył; miał więc pomoc, a w dodatku tanią.

Do orki dostał w ten sposób Torkjella Tualanda, który mimo swoich lat 54, dzielnym był robotnikiem, kiedy chciał. A *chciał*, skoro pracował u ludzi, którzy się względem niego okazali dobrymi. Jedną miał tylko wadę: języka za zębami trzymać nie umiał. Drwił z wszystkiego. Gdyby nie dobrodziejstwo, które Torkjellowi wyświadczył, wolałby Enoch innego człowieka do pracy.

Lecz na starość Torkjell popadł był w nędzę. Dawniej siedział na jednej z najlepszych zagród w Bygdes; potem jednak zadłużył się; zubożał i sądownie z domu i chudoby go wyrzucono. Mówiono, że wójt Aaze dobrze wtedy dokuczył Torkjellowi; lecz prawdą to było lub nie, dość że Torkjell dom opuścić musiał, a wreszcie mógł jeszcze być zadowolony, że wolno mu było osiąść w chałupie w Ramstadsheia. Teraz żył, pracując u innych, że zaś Enoch najbliższym był sąsiadem, więc gdy zaszła potrzeba, chętnie do niego przychodził; zresztą niewielu było takich, którzy do pracy najmowali. To też Enoch nie mógł go odesłać, kiedy przyszedł i oświadczył, że za mąkę, którą otrzymał, chce teraz pracować. Lecz Torkjell bywał czasem nieprzyjemnym.

Pewnego dnia podczas zasiewów wiosennych wyrzucili nawóz na pole i zasiedli do stołu, żeby posilić się na południe. Ale cisza nie podobała się widać Torkjellowi.

— He! — zatrzepał prędko po swojemu, przechylając długą, kozią twarz na bok i mrugając oczami — zdaje mi się, że spoglądasz na moje pięści, Anno? Ha, człek nie bieleje od nawozu. A pot bije z ciała i wsiąka w ciało. Nie mogę powiedzieć, aby twój mąż piękniej wyglądał.

— W pocie czoła winniśmy chleb spożywać, jak ci wiadomo.

— He! wójt Aaze nie spożywa swego chleba w pocie czoła. Siedzi w pokoju, pali cygara, nie żałując sobie ani pieczeni cielęcej, ani piwa, boć przecie nie ciąży na nim żadna wina, może sobie dogadzać!

— Przełożonych nie należy potępiać — powiada św. Paweł.

— Dobrze, ale co mówi Jezus Sirach? „Kto drugiemu odbiera zarobek, zabija swego bliźniego, kto zaś wyrobnika zapłaty pozbawia, ten krew przelewa!“ Ta-ak, podówczas mówiono prawdę prosto z mostu.

— Winniśmy być prawdziwymi chrześcianami.

— To dobre, a znasz takich? Pewnie myślisz o tych, którzy żyją według słowa Je-

dnak do Muzy swej „W prochu i błocie po ścieżynkach ziemi po co ci szargać dziś togę kapłanki?“ Swobodnie i z wykwintem przesuwa się ona po posadzce salonowej, przenika do buduarów, zadzwoni czasami nutą sarkazmu, rzuci zręcznie pocisk satyry; pomknie do „starej romantycznej krainy,“ wybuchnie gamą swobodnego, pustego śmiechu. St. Rossowski chciał być poetą idei, opiewać zagadnienia ogólne i filozoficzne, rozbudzić poczucie obowiązków społecznych, cisnąć wiązankę rozwdźwięków życiowych. Siły jednak nie dopisały, stał się tylko głosicielem haseł przedostatnich. Czesław także poczuwa się do obowiązków społecznych. Nie chce, iżby poezya jego była tylko pękiem blasków pogodnych, dźwiękami wesela lub roztęsknienia lirycznego, będącego wyrafinowaną formą egoizmu, zasklepienia się wewnętrznego. Ostatecznie wszakże muza jego jest chochlikiem psotliwym, pasterką krasnolicą, marzeniem przelotnem, satyrem, nie bardzo jednak żółciowym i głębokim „Almawiwem lirycznym,“ echem romantycznych bujań, paziem płochym i pustym, karcicielką błędów i zdrożności, doradzynią zadań i obowiązków obywatelskich. Strona jej zewnętrzna wykwintna, środki i przybory artystyczne dobrane są starannie i umiejętnie. Poezya taka nie stanowi szkoły myśli i uczuć.

W wierszu „Vivat Seguens“, żywo i dosadnie napisanym, wkracza na zmianę starego nowy rok: „Młody władca w złotej czarze nową erę niesie w darze. Niezliczone trybularze do stóp jego ścielą dym.“ Starzec odpowiada na chwalcze okrzyki pod adresem młodego: „Mnie też tak witano, takim kiedyś byłem ja“! W piśmie obrazkowem, możnaby to przeczytać z przyjemnością.

„Święto“ owionięte jest myślą społeczną, ale pozatem nic więcej nie ma. W zakończeniu powiada autor: „Kiedyż wszystkim krajom, ludom, braciom w walce z braćmi swemi, nad tą ziemią przesiąkniętą wieków znojem — szczęścia, zgody błyśnie wiecznej dzień pogody, wspólne święto.“

„Ludzie czy szakale? (Z motywów „Wojny“ Grottgera), świadczy, że Czesław zgoła nie posiada siły dramtycznej. Śpiewnym i nastrojonym jest „Wędrowny grajek,“ Mazurki). „Szewc“ biada nad swoim losem i opowiada pewne wydarzenie ze swego życia surowego, kiedy, przyciśnięty losem, poszedł do lokaja, służącego w domu magnackim, po odbiór swej należności. Spotkał go zawód dotkliwy, lokaj bowiem porzucił służbę i przepadł bez wieści. Powracając spotkał hrabiego i pożalił się przed nim. Ten mu przysłał książeczkę do czytania, „jedną z tych, które dla głupich piszą ludzie uczeni.“ Wiersz ten wykazuje, jakie kształty przyjmuje idea demokratyczna, skoro wstąpi na ulicę, zajętą przez tłum inteligencyi. Na tematy takie porywać się mogą tylko umysły, ubarwione płomieniami żaru uczuciowego. „Sylwetka“ zamyka w ramkach swych postać karyerowicza i pospolitaka duchowego, co „Nie obrazi nikogo, nie draśnie, chwali w miarę i w miarę też gani, zawsze zręcznie większości przyklaśnie i służalczy szacunek ma dla niej.“ „Menuet“ odznacza się wdziękiem i błyskotliwością. „Żona wojewody“ dźwięczy strasznie ograną i przedawnioną melodyą; występuje stary mąż, młoda żona i układny gach. „Czaty“ Mickiewicza znajdują zawsze chętnych naśladowców. „Kolęda“ (na Boże narodzenie) nie ujawnia prawdziwego natchnienia religijnego, widać, że napisana została specyalnie dla numeru gwiazdkowego jakiegoś pisma. „W noc październikową“ owionięty jest smętną zadumą, wyrażającą się mętnie i mglisto. Powiada autor: „Szkoda uczuć zapału i nowej siły wrażeń, co uczuć tych strzeże, szkoda nieść to raz jeszcze w ofierze Molochowi i Hydrze Stugłowej. Gdy mi świat te sny złote rozproszy, co też wzamian on dziś mi dać może?“ „Z Noworocznego — listu“ udatnie napisana rzecz ujawnia najodpowiedniejszy rodzaj twórczości Czesława. Kreśli sylwetkę „Pana,“ mającego być wzorem dla arystokracyi, przebywającego na wsi, oddanego pracy i obowiązkom obywatelskim. Najdłuższym utworem jest „Między nami,“ poemat z dziejów młodego małżeństwa. Napisany szczerze i uczuciowo. Małżeństwo to buduarowe, zamknięte w ciasnym światku uciech osobistych, radości nieco płytkich, nieco subtelnych. Życie duchowe sączy się miło szemrzącym, migotliwym strumykiem, ale nie odbija się w nim cały widnokrąg życiowy i nie wstrząsają nim wichry stosunków ogólnych. Gwara uczuciowa brzmi pogodnie, czasami półszeptem, przerywana niekiedy pasmami wichury, prędko przemijącemi jednak. Żona jest miłą kwoczką. Prędko się pociesza po doznanem niezadowoleniu: „Żyje znowu, pragnie żyć — bo kocha, już jej nie brak niczego — ma dziecko.“ Ideałem poety jest odaliska duchowa, istota, zaprzęgnięta do rydwanu obowiązków rodzinnych. Czesław należy do gatunku ludzkiego, pojmującego kobietę to, jako anielicę miłości, to znów jako kapłankę ogniska domowego. Przekonany jest o znaczeniu i dodatniej roli poezyi, ale w jakiż mały sposób broni jej posłannictwa! „I na wachlarzach *roccoco* sonetów już nie ryto... Romeo prozą z Julią swą rozmawiał pospolitą. Nie bruździł nigdzie ambry i nie mglił smak pomadki, nie mącił żaden tkliwy rym snów panny i mężatki. Pukano pięścią do ich drzwi, całusy brano siłą. O Boże wielki, chwała Ci! Poezyi w tem nie było.“ Największą, nieprzymuszoną swobodę autora czuć w tworzeniu takich rymów: „Sukienkę mam różową, kuzynka przytem mam; zwie zawsze mnie królową, lecz chętniej daje słowo, królować radby sam (Różowa sukienka)“; lub: „W warkocz wpięta niezabudka, sukieneczka w drobne paski, jestem sobie bałamutka, bałamutka z Bożej łaski. Hej... (Bałamutka).“ Niekiedy Czesław przemawia do czytelnika doradczym, trzeźwym głosem, np. w wierszu: „Trzeba żyć“ — „Choć ostatnia w duszy młodej złudzeń, marzeń rwie się nić, trzeba dalej brnąć w zawody, trzeba żyć. W walce, w trudzie już minęło tyle lat... więc naprzód idź! Trzeba skończyć wszczęte dzieło, trzeba żyć.“ Jakiż to nizkolotny optymizm!

Bron. Lud.

ZBAWCY LITERATURY.

III.

W swoich zgryźliwych ale i nadzwyczaj bystrych myślach Leopardi słuszną zwraca uwagę, że w każdym narodzie piorunuje się na nieuctwo, że wszędzie lud miejscowy podawany jest za najbardziej dziki i podły, że każde plemię nazywa swoje kobiety najbardziej pustemi itd. Słowem, każdy kraj ma mieć swoich zrzędów i choleryków, swoich poganiaczów, którzy hałasują i walą batem leniwą w ich pojęciu gromadę. Kiedy jednak Leopardi ten nałóg dopatrywania

zusowego; co jednak powiada Jezus? „Weź wszystko, co twojem jest i oddaj ubogim“— tak mówi! Ja zaś nie widzę, aby ktokolwiek tak postępował.

Enoch zamilkł.

— No, bo wtedy zubożelibyśmy wszyscy — rzekła Anna — i nie byłoby nikogo, kto pomódz by mógł nędzarzom.

— Nie wierzę, iżby miała istnieć nędza wtedy, gdybyśmy się postawili, jak należy... He, tożby to było komiczne, gdyby Bóg był stworzył więcej ludzi, aniżeli wyżywić jest w stanie!

Ciężko było zamknąć usta Torkjellowi; Enoch zamilkł zupełnie.

Była to wiosna zimna, lud skarżył się. Wiatr z północnego zachodu, który wiał i trząsł bezustannie, nie dawał posunąć się robocie w polu.

Enoch nieraz wspominał słowa Torkjella Tualanda i dręczyły go one. A gdyby tak wziąć jeszcze jedno biedne dziecię do domu. Z Joriną szło mu tak dobrze, wola boża była w tem widoczna...

Pewnego dnia powrócił z długim, rudym chłopcem, który zwał się Łukasz. Anna przyjęła go westchnieniem; niechże pobędzie, póki wytrzyma. A Enochowi wnet się wydało, iż spokój wstąpił w jego serce.

Łukasz wytrzymał aż do jesieni. Miał tylko jedną ale wielką wadę: był grymaśny w jedzeniu. Enoch zaś dla chłopca zmian w zwyczajach domowych zaprowadzać nie chciał. Więc poróżnili się. Pewnego dnia, gdy Enoch zamierzył użyć przemocy i rzekł: albo Łukasz jeść będzie solone makrele, albo bez kolacyi spać pójdzie! Łukasz wstał od stołu, ubrał się i podziękował. Enoch gryzł się tem.

W dwa tygodnie później miał znowu inne „dziecię Jezusowe.“ Był to gruby, biały leniuch, imieniem Haawar; do dobrego jadła nie mógł być przyzwyczajony. Ojciec jego był włóczęgą, mieszkającym w jakiejś lepiance na błotach Höjlandzkich; dwór Haawski w porównaniu z domem musiał się wydawać chłopcu niebem wobec izby piwnicznej. Jadł wszystko, co mu dawano, i jeszcze więcej. Gdy zaś nie jadł — spał. A pewnego dnia, zimą, Anna wykryła, że kradł.

Spostrzegła, że ze spiżarni znika więcej, niżby sam Gunnar wziąć sobie zdołał; zaczęła więc śledzić, aż wreszcie przyłapała Haawara na uczynku. Natychmiast poszła do Enocha; temu zaś leniuch tak już był dojadł, że wypędził go bezzwłocznie.

Po tym wypadku Enoch gryzł się znowu przez jakiś czas, nie wiedząc, co myśleć. Chyba sprzedać cały dobytek i rozdać między ubogich... Jeszcze z pastorem pomówi...

Zima ciągnęła się bez końca. Jedyną ulgą dla Anny było to, że od rana do nocy miała wiele zajęcia. Częstokroć nie wiedziała jednak, co czynić.

Dom powoli stał się istnym przytułkiem dla włóczęgów. Wszędzie rozeszła się wieść, że dom Enocha dla wszystkich stoi otworem, gromadnie tedy zaczęli schodzić się żebracy wioskowi i przydrożni, cyganie i kaleki, szwedzi bez zajęcia i tułacze; wszystek motłoch, wszystkie leniuchy, włóczące się po drogach, bywali wpuszczani; zdarzały się dnie, podczas których Anna niczem zająć się nie mogła, zmuszona doglądać całej tej hołoty.

Najgorzej było z tymi, których trzeba było przyjmować na nocleg. Brudni, wstrętni, plugawi; ani pomyśleć o daniu im łóżek, ułożyć zaś ich w stodole było niebezpiecznem, musiała więc przygotować im posłanie na podłodze, w pokoju, gdzie sama rodzina sypiała; czasem zebrało się ich tylu, że aż było niezdrowo. A przytem strach było patrzeć na tę gromadę długich chłopów, rozwalonych po izbie. Kto wie, co im do głowy wpaść może. Rano sprzątanie; czasem bywała to praca wstrętna. Anna w duchu myślała sobie nieraz, że gdyby wszystko to czynić miał sam Enoch, ani w połowie nie byłby tak skorym do przyjmowania każdego, kto się pojawi. Ale mówić z nim na nic się nie zdało, wszak odpowiadał tylko cytatami z Biblii.

A tak nic nie spostrzegał i nie rozumiał, że wydało mu się, iż wszystko jest w porządku.

— Patrz, patrz, jak dobrze idzie bez słu-

śród swoich największego stoku błędów wyśmiewa, z zasady ogólnego swego pesymizmu, który mu nie pozwala wierzyć w jakieś upośledzenia wyjątkowe i niepowszechne, tedy u nas panująca w piśmiennictwie ogromna większość knebluje usta niezadowolonym djabłom z racyi nieuleczalnego optymizmu.

Błogi ten nastrój nie dosyć jest podkreślić i podać jako przyczynę skurczenia się miary krytycznej, ale należy zbadać, jakie zjawiska dopomogły jemu samemu do zyskania przewagi i utrwalenia się.

Niewątpliwie zwyczaj płytkiej i lekkomyślnej oceny sięga u nas czasów bardzo dawnych, tak może dawnych, jak zamiłowanie do omszałych gąsiorków. Tradycyjna czapka i sól uległa w zastosowaniu do życia literackiego szlachetnej przemianie. Mamy się wszyscy za poetów i artystów z bożej łaski, a takim przecie nie wypada lizać soli na podobieństwo cieląt, wolno jedynie dodawać sobie natchnienia winem lub koniakiem. W dziejach naszej krytyki i w archiwach sądów o książkach i artykułach najwybitniejszą szkołą jest—Stępkowski i jego sąsiedzi lub rywale. Niezmiernie skromne uposażenie mistrzów pióra na naszym gruncie w związku z olimpijską pożądliwością wesołych biesiad i ostrego nektaru sprawia, że owa szkoła zamracza nam coraz bardziej jasność wzroku i dokładność miary psuje z dniem każdym. Stępkowski nie chce kumać się z Leopardim i każe go po prostu wyrzucić za drzwi...

To pierwsza z głównych przyczyn naszego błogostanu. Drugą jest, że w rzeczy samej stanowimy ciało zbiorowe niezmiernie utalentowane. Jesteśmy jak salonowy młodzian, który potrafi zagrać, zaśpiewać, zadeklamować, jeździ konno, wiosłuje, nawet lubi niekiedy poczytać, ma nader pewny sąd o teatrze, dobrze układa żywe obrazy i doskonale tańczy. Literatura nasza wychowuje się pod wpływem Paryża, złagodzonego w swych skrajnościach przez Wiedeń, gdzie każdy geniusz lub działacz, żeby nie płacić *sperrgeldu*, wsuwa się o godzinie 10 wieczór pod pierzynę. Umysłowość nasza tak wiernie naśladuje naddunajskie wzory i tak się nadzwyczaj interesuje wszystkiem, co w dziedzinie sztuki i literatury zachodzi w Wiedniu, że korespondencye stamtąd sprawiają złudzenie sprawozdań miejscowych nawet w tych wypadkach, kiedy naprawdę pisane są w Wiedniu. A przecież nędzny to ideał i marna to inteligencya, w której ster trzyma księżna Metternich pospołu z gigerlami i fiakrami o lśniących pejsikach. (Ta nadzwyczajna przyjaźń wytwornych dam ze stangretami już się do nas przeniosła i są podobno panie, które swoim ukochanym rumakom własnoręcznie czyszczą zęby).

Ta sama mieszaninka łagodno-wdzięcznych żywiołów ducha, urabiając wedle swej woli naszą sztukę dramatyczną, nasze fejletony i recenzye, dała im zarazem pozór istotnego ożywienia, ruchu, postępu przez szczęśliwe zafłancowanie taniego realizmu. Żadne chyba godło nie było tak płodnem w następstwa, tak wydajnem, jak hasło odtwarzania natury. Kiedyśmy parę lat temu na tych samych łamach ogłosili krucyatę przeciw bezmyślności, drapującej się w szaty realizmu, przedmiotowego malowania itd., nie było jeszcze tylu namacalnych dowodów naszej racyi, co dzisiaj. Cóż bowiem okazało się? Że rozgrzeszyć twórczość z warunków posiadania silnych cech podmiotowych, jest to ogołocić zagony z parkanów i żywopłotów — tylko patrzyć, jak nieproszeni goście zajdą w szkodę, co też nastąpiło niebawem i przybrało rozmiary olbrzymie.

Bo cokolwiek by teraz wyrzec się dało o względnej wartości kierunków, które kolejno zagarniały tron i berło w poezyi naszego wieku — dziś już jest jasnem jak słońce, że realizm obniżył cenzus, wymagany od literatów. Każe on biernie i możliwie wiernie odtwarzać, badać, a zatem przypuszcza do stołu pańskiego najlichszych zaściankowców, grafomanów, ignorantów, którzy upstrzywszy byle bzdurny opis kropiami „plam," na wzór pani Zapolskiej, mniemają, że coś zbadali, odtworzyli, bah, nawet odkryli. Upowszechnił on opinię, że wszystkie temata są jednakowo godne pióra, więc rzecz naturalna, że się do roboty wzięli nietylko ci, co czuli serce epoki, ale przedewszystkiem ci, co dojrzeli jedynie rosnące na niej włoski i zmarszczki na skórze, oh, zupełnie, jak słynny malarz Denner. Jest nawet możebne, że ten i ów opis pralni lub szewckiego warsztatu zbliża się do ścisłości fotograficznej, że autor policzył, ile kropel deszczu upadło lub ile źdźbeł słomy zostało na polu po żniwach, ale do tego nie potrzeba wcale powieściopisarza. Choćby mniej dokładny ale odczuty wizerunek namiętności, cechującej dobę, albo typu, co znamionuje przełomową chwilę w dziejach, albo skarga potężnego umysłu na doznane w życiu zawody, tysiąc razy więcej zaważy na szali życia publicznego, wpije się dosadniej w krew czytającego ogółu, zostawi trwalsze ślady na jego samowiedzy, wstrząśnie nim gwałtowniej i procesy życiowe pobudzi.

Wielkiego, prawdziwego realizmu nie rozumiano u nas nigdy. Zrobiono z niego *metodę*, kiedy on winien zasadzać się na pewnym *gruncie* w naturze autora. Zamiast powiedzieć: stań na wysokości twego wieku, pochłoń jego naukę, zrozumiej jego dążenia, krytyka mówiła: możesz być idyotą, krótkowidzem, samolubem lub błaznem, bylebyś odtwarzał wiernie to, co sobie upatrzysz. Zapomniano, że być realistą, to znaczy mieć duszę wykarmioną nowoczesną wiedzą, etyką, socyologią i że kto z takiemi danemi będzie pisał, ten nie poprobuje bałamucić czytelnika ani cudownem uleczeniem schnącego mlecza, ani nagłą poprawą zbrodniarza, ani prześlepi wpływów otoczenia, ulepiających dany charakter, ani uwierzy w błękitną krew arystokracyi, ani będzie zapewniać, że kobiety, chłopi i psy nie mają duszy, ani uwierzy w upiory i strzygi. Po wszystkie czasy realizm jest tem samem i tak samo żywotnie objawia się w arcydziełach, bo prawdziwa, sumienna, powołana sztuka nigdy nie ośmieli się tworzyć, nie nasiąknąwszy wprzód ideami czasu, jego wszechpoglądem, zwyczajami, ustrojem duchowym, upodobaniami. To, co estetyka nazywa erą realizmu w bieżącem stuleciu, było poprostu erą wielkich objawień w przyrodoznawstwie, psychologii i naukach społecznych. Skorzystał z nich cały obszar umiejętności ludzkiej, więc i skorzystała poezya i powieść, które jednak nie wzięły stąd pochopu do zrzeczenia się wielkich uczuć, ogromnych subjektywizmów, słowem podkładów i czynników osobistych tak olbrzymiej wagi, że osnowa lub fabuła była tylko dla nich posłuszną gliną.

Ani za granicą, ani u nas wybitne talenty nie bywały realistycznymi w sensie hołdowania zupełnej beznamiętności. Co najwyżej, z powodu wadliwego rozumienia siebie samych, pozowały na chłodnych badaczów. Ideał Flauberta, a poniekąd też Stendhala i Merimée'go kazał im wprawdzie maskować się i udawać nieraz okrutników, układających urzędowe raptularze,

---

gi! — rzekł pewnego dnia — byle tylko żyć wedle słowa bożego i wstawać raniutko.

Anna nie wiedziała już, czy śmiać się, czy płakać.

To jedynie zdołało ochronić dom przed zagładą, że Enoch trzymał motłoch w karbach, nie pozwalając mu rządzić się samowolnie. Wszędzie opowiadano też, że u niego trzeba słuchać pacierzy i słowa bożego, rano wstawać — tego zaś włóczęgi nie lubią. Przychodzili więc teraz tylko niektórzy, stali, tacy, którzy trzymali się domu, a ci bywali już po największej części lepsi. Z prawdziwych wszędobylców pozostał tylko jeden, który z gromadą swoją częściej się tu zatrzymywał. A tym jednym był cygan — Tomasz.

XI.

Nadszedł pierwszy, piękny dzionek, taki, że w domu wysiedzieć niepodobna. Łagodne, błękitne, niby sen świetlany, sklepiało się niebo ponad ziemią. Słońce potokiem płynęło przez szerokie przestworze, błyszcząc, strzelając iskrami po całym widnokręgu; łagodne, słone powietrze z zachodu mieszało się z błękitnem, świeżem powietrzem górskiem ze wschodu; łączyło się z tem tysiące zapachów od soków zielonych i świeżego nawozu. A powiewy pieściły ciało jak kąpiel letnia. Ze słonecznych wzgórz i białych niw unosił się ku światłu skowronek, wywodząc trele i napełniając błękitne sklepienie radością, dźwiękami, niby słodkim odgłosem dzwonków srebrnych.

Wzdłuż wałów kamiennych, przydroży i na słonecznych pagórkach zieleniły się źdźbła świeże, złociły i iskrzyły się nowonarodzone lwie paszcze i rosiczki. Delikatne lilie wodne bieliły się w błotnistych wgłębieniach i w korytach źródeł. Młode liście wykwitały, rozchylały się, pokrywając lekką swoją osłoną odradzający się lasek. Bagno *), wierzbina i janowiec parły się w błota i trzęsawiska ostrą, gorącą, korzenną wonią. A wokoło igrały ptaszki, parami i gromadnie, szare i bure, żółte, pstre i białe, skacząc z radości i szalejąc całowały się dziobkami, wszczynały bójki, świegotały, śmiały się, rozochocone miłością, upojone słońcem. Wysoko w powietrzu wzbijała się tu i owdzie mewa, żeglująć leniwym lotem ku morzu, krótkim, wesołym okrzykiem zwiastując pogodę; tu znów para edredonów lub kaczek dzikich, kilka jastrzębi, stado dzikich gęsi i jakieś obce, arystokratyczne ptaki, dążące długimi, pełnymi tęsknoty dziobami ku południowi, ku cichym ostrowom i wodom, daleko, daleko—het tam, dokąd nikt za nimi podążyć nie mógł.

*) Roślina.

Ponad błotami harcowały czajki, ostro posuwając się naprzód z ostrym krzykiem, który brzmiał, jak kwinta skrzypcowa. Padały blaski od tych białych, jedwabistych piersi, śmiało się coś i szeleściło w ich skrzydłach białych. Na samotnym pagórku, wśród wrzosów siedziała stepówka, brunatna i szarawa, o piersi, jak aksamit czarnej, wabiąc czystymi, żałosnymi dźwiękami — niby dźwiękami fletu; bekasy, łyski i inne ptactwo błotne skakało lekko, zgrabnie, na czerwonych łapkach, przygwizdując sobie wzajemnie. Po raz pierwszy w lasach, opasujących Storbrekke, słyszano kukanie kukułki.

Na zachodzie sterczał grzebień gór, błękitny, delikatny, strojny, jak gdyby na dzień świąteczny. Wzwyż i wzniż słała się nizina brunatna, ogrzana, otulona w jasny, miękki powiew wiosenny. Na skraju — morze, niby błyszcząca, blada, błękitna wstęga.

A w przestworzu rozlegało się coś, jakby westchnienie: że to już wiosna nadeszła! Teraz przez czas jakiś żyć będziemy, żyć i kochać, żyć i pracować — przez jakiś czas, póki będzie można; więc aż do zimy.

(D. c. n.).

ale nam za tą maską łatwo dostrzedz oblicza wyraziste, pałające ogniem, skrzywione bólem, rozczarowaniem lub niesmakiem. Można tworzyć po babsku, gadulsko i wścibsko, jak George Elliot, można jednak i należy w okresie hartu ducha i siły stoickiej tworzyć po męzku, ukrywając wzruszoną twarz. Tak też czynią Goncourtowie, Guy de Maupassant i Zola. Szlachetną dyskrecyę dobrego opowiadacza, który pragnie, ażeby wypadki same za siebie mówiły, świat ochrzcił niedorzecznem mianem realizmu. To raczej naturalizm, zachowujący kamiennie spokojną postawę wobec świeżo zbadanej niezłomności praw natury, to *nil admirari* filozofów nowej, zrezygnowanej szkoły. Prawdziwie dobry smak zawsze i wszędzie ukrywał w sobie coś w rodzaju „normalnego człowieka,“ jako osobnika, który nie deklamuje, nie ciska się, nie moralizuje, nie włazi na szczudła, ale mówi i działa spiżowym językiem faktów.

Tej miny nigdy złapać nie mogli niemcy, naród do niedawna najbardziej ograniczony. Są brutalni albo sentymentalni, nigdy męzcy i godnością przejęci. Stąd połowa ich pisarzów to czciciele siły pięści — a druga to mazgaje małomiasteczkowi, groszowi poczciwcy, a często jedni i drudzy razem jak Gustaw Freytag. U nich też w braku polotu i charakteru ziściła się naprawdę wizya tak zwanego realizmu. Ebersy i Dahny to automaty do gromadzenia faktów, to bezduszne motory, po których zostanie w literaturze w najlepszym wypadku — dół na nowe śmiecie. Służalcza dusza niemca dopiero teraz zaczyna otrząsać z siebie jarzmo tępoty, nałóg małpowania, tchórzostwo przekonań.

Nasi pisarze, obchodzący dni jubileusze pracy ćwierćwiekowej, nie byli nigdy — przyznajmy to z chlubą — realistami. Prus mimo że się za takiego w swej naiwnej samokrytyce uważa, drga cały ciepłem, jak ptak, którego na dłoni położymy. Sienkiewicz zapala i rozczula, Okoński apostołuje, urąga lub wskazuje na męczeństwo wybranych, nieśmiertelnych dusz, Orzeszkowa skupiła w swem sercu bezmiar miłości, poważna i opiekuńcza jak matka Gea. Towarzysze ich, których nawet wymieniać zbyteczna — muszą tę samą właściwość ujawniać, jeśli tylko zrodzili się na tej samej ziemi i pili z tego wielkiego zdroju uczucia i zapału, zacnych chęci i roztropnych na przyszłość postanowień, który tryskał tak wspaniale dwadzieścia lat temu.

Na takich ludziach powinna się była urobić krytyka łaknąca śmiałego pędu i bogactwa myśli, a tymczasem wyrosła ograniczona, pobłażliwa, której się zdaje, że surowe ma kryteryum, gdy żąda od poety, ażeby był sumiennym i gruntownym, jak uczony. Za pozwoleniem — jeśli on odkryje wielkie prawo ducha, albo odsłoni wielkie a powszechne zjawisko bytu zbiorowego — ot np. chorobę miłości, która u nas toczy jak rak nawet krzepkich i skądinąd praktycznych i trzeźwych Wokulskich — to nazwa „uczonego“ jest odznaką, aczkolwiek i błędem, bo bez podmiotowego werteryzmu w sercu Prusa nie byłoby wcale *Lalki*. Lecz jeśli takim samym uczonym spostrzegaczem nazwiemy pisarza, który dobrze podpatrzył i oddał sposób pędzenia wódki — to czynimy tamtemu, w danym wypadku Prusowi — ujmę. Takich uczonych orzeł — Słowacki z pewnością zagnałby do jednej kupy z osłami, jak to uczynił w jednym z prologów (Osły i uczeni — do środka!).

Udekorowano u nas po samą szyję paru pisarzów, którzy uprawiają innego rodzaju „naukową blagę w powieści, bo ku uciesze gawiedzi osnowę układają ze znanych skandalów. Ludziom się zdaje, że to szczyt realizmu, gdy np. ktoś odnajdzie w książce opis zabawnego pogrzebu, na którym znajdowali się ongi sami. Dobrze określił ten sposób tworzenia Bourget, przez usta powieściopisarza z *Cosmopolis*. Na wyrażoną przez bankiera obawę, że zużytkuje po literacku pewne zajście, odpowiada on:

— Nie jest w moim zwyczaju malować, patrząc przez dziurkę od klucza.

Zwyczaj ten jednak u nas rozpowszechnia się, a jego objawy krytyka nazywa „mistrzowstwem.“ Gdyby nie cześć dla zasady *nomina sunt odiosa* — złożyłbym tutaj wnet dowody. A im skandal rzeczywisty jest świeższym i bardziej śmiesznym lub gorszącym, tem większe spotykają go pochwały, gdy zostanie przeniesiony na karty noweli. Czy wy sądzicie, że autor, taką metodą się posługujący, umie obserwować poważnie i przenikać ducha pewnych warstw lub typów? Nie, on goni jeno za efektem i ordynaryjnym poklaskiem i choćby nawet wiele szczegółów podpatrzył dobrze, to jakże psycholog, a psychologiem przedewszystkiem musi być krytyk, może zdać się na obserwatora, który pracuje bez namaszczenia, którego jedyną ambicyą — jest zostać takimże samym gładkim skandalem, sensacyą, obnoszoną po wszystkich salonach, buduarach i cukierniach?

Taki realizm uliczny obniżył więc także i cenzus, wymagany od krytyka. Poznać znajomy fakt lub głośną osobistość w opowiadaniu — potrafi każdy, a zatem każdy czuje się powołanym do napisania oceny. Obfitość szczegółów i masa rozmów olśniewają go. Ma odwagę sądzić o każdym utworze, kierując się mglistym domysłem, a jak spotka rzeczy nowe, to jest właściwie takie, które dobry artysta winien umieć chwytać, wtedy nie wie co o nich trzymać i sprawozdanie wychodzi koszlawe, albo wprost głupio. Nie — panowie koledzy — intuicya nie wystarcza, potrzeba znać życie z jego odmętem zdarzeń, ażeby módz oceniać powieść. Twórca może być specyalistą od malowania dzieci, albo rzemieślników, albo chłopów, ale analityk musi być uniwersalnym. Jeśli nie potrafi czuć głęboko, niech do ferowania wyrobów o uczuciach nie zabiera się; jeśli nie kochał, niech nie sądzi o erotyzmie poety, jeśli nie łamał się, nie chwiał, nie pogrążał w apatyę, niech nie pisze o Hamlecie, jeśli nie wierzył nigdy, nie zrozumie religijnej ekstazy, jeśli nie pragnął przebić muru głową, nie zrozumie rospacznych wysiłków ideologa, marzyciela lub bojownika. A jeśli pomimo to sąd wydać zechce, będzie to tyle warte, co słowa pewnego głośnego naszego krytyka, zajadłego realisty, że jego „pies — nie pamiętam jak się wabi — napisałby powieść lepszą niż *Nad Niemnem*.“

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE

10 lipca.

Artykuł p. Blocha o wojnie.

Strategia uczy, że z wielu czynników wojny ważne ma znaczenie żywność wojsk. Był czas, gdy o tem nie myślano wcale, spożywano, co się trafiło: system taki w strategii nosi nazwę — *rabunkowego*; teraźniejsze wojny przekładają — *magazynowy*.

Bezwątpienia na tę zmianę po części wpłynęła etyka, ale strategia nie może kierować się w zupełności jej zasadami i obrała system magazynowy nie gwoli etyce, ale dlatego, że jest zupełniejszy.

Ostatnimi czasy, z pomnożeniem ilości wojsk i ilości ruchu, zasilanie armii z magazynów stało się rzeczą nader trudną, prawie niemożebną. Wytworzyły się dwa wymagania wręcz przeciwne: magazyny muszą być bardzo obszerne i niezmiernie ruchome. Przerzucanie wielkich mas zasobów na znaczną przestrzeń i w krótkim czasie wymaga wiele sprężystości i wiele sił. Nadto potrzeba je zgromadzić do magazynów w jak najprędszym czasie, co może być wykonane tylko za pomocą znacznej ilości agentów. Nie dziw więc, że w razie wojny armię zbrojną otacza armia przemysłowców, która również ma swoich wodzów, oficerów, podoficerów, konnicę i piechotę. Cała różnica polega na orężu: zamiast dzirytów — szwindle, zamiast szabel — grosze, ruble służą zamiast kul do przebijania opornych, działami zaś są zwoje papierów rozmaitej wartości. Kantory bankierskie z wielkiem powodzeniem grają rolę głównych sztabów; one dają impuls całej machinie i jak serce ożywia organizm, zasilając go wciąż nową dozą krwi oczyszczonej, tak owe biura pędzą grosze do najskrytszych zakątków organizmu kraju i wprawiają w ruch machinę.

Armia orężna usiłuje zapewnić krajowi swojemu zwycięztwo; armia przemysłowców dostarcza pierwszej niezbędnych przedmiotów: odzieży, pożywienia, broni itd. W zasadzie tedy przemysł wytęża siły, aby nieść skuteczną pomoc sile zbrojnej. W zasadzie — tak, w rzeczywistości zaś podrzędne cele przemysłu częstokroć przynoszą szkodę armii. Sumienny a troskliwy dostawca w czasie wojny jest ideałem, który podobno jeszcze się nie ucieleśnił.

Tę małą przemowę skreśliliśmy dlatego, ażeby czytelnik łacniej zrozumiał, dlaczego p. Bloch i gazeta *Nowoje Wremia*, traktując o przygotowaniach do wojny (jeśliby ona nastąpiła), nie rozumieją siebie wzajem.

W miesięczniku *Ruski Goniec* p. Bloch zamieszcza swą pracę *) p. t. „Przyszła wojna,“ w której jaskrawymi kolorami maluje dzisiejszy stan orężny. Nie myślmy jednak, że autor troszczy się o ulepszenie armii... Opisy o wybuchach, wystrzałach, spustoszeniach są to przygrywki tylko, p. Bloch ma na celu przedewszystkiem tę część trudów wojennych, która przypada w udziale armii przemysłu, jużci przypuszczając, że ona spełni swoje zadanie jak najsumienniej. Jako wódz troskliwy a przezorny i w czasie pokoju dba o to, ażeby zapas broni był dostateczny i dobrego gatunku, tak autor rozprawy troszczy się, ażeby „jeśli przyjdzie co do czego,“ przemysł nie wystąpił z pustemi rękami.

W samej rzeczy, za pierwszą pobudką wojny przemysłowcy muszą uzbroić się należycie, ażeby w jak najprędszym czasie zgromadzić wielką ilość zasobów. Zwykłej broni kapitału i kredytu w tak nadzwyczajnych okolicznościach nie wystarczy. Otóż podług mniemania p. Blocha Bank państwowy powinien nieść pomoc przemysłowcom — jednym za poręką bankierów otwierając kredyt, innym dając pieniądze na rozmaite papiery wartościowe. Nareszcie państwo powinno dbać, ażeby armia orężna nie pozbawiła armii przemysłowej możności komunikacyi, a więc kolei żelaznych i telegrafów. Wymagania te bezwątpienia są logiczne: skoro potrzebujemy od kogoś działalności energicznej, musimy dać mu dosyć przestrzeni dla ruchów.

Inaczej się rzecz przedstawi, jeśli wyjdziemy z innego założenia: np. że przemysłowcom chodzi nie o losy wojsk, ale o zarobek... *Nowoje Wremia* mianowicie, bez żadnych *ale*, roztrząsa całą sprawę tylko z tego stanowiska; nie dziw więc, że się oburza na samą myśl pomocy w tej lub owej formie, szczególnie zaś przyjmując na uwagę, że przemysłowcami przypuszczalnego pola walki, tj. zachodnich granic

*) Praca ta drukuje się w *Bibliotece warszawskiej*, gdzie autor bardzo obszernie zajmuje się także techniczną stroną uzbrojeń. *Red.*

państwa, są żydzi. Po udatnych i nieudatnych przymówkach autor artykuł ten kończy:

„Ciekawą rzeczą byłoby dowiedzieć się, jak na projekty p. Blocha patrzy społeczeństwo polskie, które w razie zwiększenia zasobów żydowskich musiałoby odczuć na własnej skórze cały ciężar ich sił pomnożonych; ekonomiczne dominowanie trudne do zniesienia stałoby się wszechmocnem i dałoby się wszystkim we znaki. Ale tak zwane polskie, w rzeczywistości półżydowskie czasopisma uporczywie milczą o projektach p. Blocha, milczą nawet antysemickie pisma: *Rola*, *Wiek*, *Dziennik dla wszystkich* — co to znaczy? Być może mniemają, że zwiększony żydowski wyzysk da się wynagrodzić czemś innem, korzystniejszem?..“

O całej tej polemice, pomijając kamyki rzucone do naszego ogrodu, możemy dać sąd zupełnie bezstronny. P. Bloch ma na celu interesy przemysłu, to też podług naszego mniemania rozprawa jego o czynnościach armii i o kraju jest balastem. Kamienować jednak przemysł, przy dzisiejszym stanie etyki za to, że dba o swoje interesy, chyba nie mamy prawa. Bezwątpienia on też nie ma prawa wymagać, ażeby nawet w czasie wojny przedewszystkiem o nim pamiętać, gdyż i bez szczególnej troskliwości nie zginie. Dotychczas tak się działo: obywatele w czasie wojen tracą zdrowie, życie, mienie, a przemysł sucho wychodził z wody, a nawet wynosił z jej głębi kilka ryb smażonych. Kwestya jednak spoczywa nie w tem: pytanie, czy wojsko może się obyć bez armii przemysłu? Czy bezczynność tej ostatniej nie sparaliżuje czynności pierwszej?.. Niech autor polemicznej rozprawy dowiedzie, że ograniczenie przemysłu korzystnem jest dla celów wojennych, lub w zamian teraźniejszego sposobu zasilania armii wskaże inny, lepszy, natenczas projekty p. B. runą same przez się. Same wymyślania i artykuły o eksploatacyi żydowskiej w tak poważnych kwestyach niczego nie nauczą i pozostaną słowami rzucanemi na wiatr.

N. B.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

III.

2 czerwca. Newark, N. J.

Dziwne wrażenie wywarła na mnie Ameryka na samym wstępie — w najwyższym stopniu nieprzyjemne. Wprawdzie znam jedynie Hoboken i New Jersey City, drogę żelazną do Newarka i to miasto, zresztą nader pobieżnie. Ale starczy i tego, com widział. Brudy, kurz — nie, nasza niemyta ojczyzna nie potrzebuje się wstydzić swoich miasteczek, nie jest ostatnią na ziemi! Wszędzie na głównych ulicach leżą śmietniki, jak u nas w zaułkach. I przestrzenie wzdłuż linii kolejowej są dziwnie zaniedbane. W Niemczech każdy kawałek jest troskliwie uprawiony, tutaj spotykamy ciągle wielkie odłogi. Ze wszystkiego widać, że człowiek ma tu tak obfite i bogate siły przyrody do wyzysku, iż nie potrzebuje zadawać sobie pracy, aby uprawiać gorsze. A zatem planty kolejowe biegną w pustkowiu. Nie, omyliliśmy się, zużytkowano je, gdyż, jak oko sięgnie, dźwigają na sobie olbrzymie parkany, lub raczej olbrzymie rusztowania reklam. Pojedyncze litery są niekiedy mojego wzrostu, a pomimo szybkiej jazdy mogę z łatwością z okien wagonu wyczytać, o czem one głoszą. Zresztą reklamy towarzyszą nam na każdym kroku. Kiedy wchodzimy na dworzec, depczemy je na schodach, spostrzegamy na dachach wiejskich domków, kominach fabryk, podporach mostu.

Domy nie mają naszych spiętych, ostrych dachów, a zatem i strychów do suszenia bielizny. Amerykanin dla bielizny wynalazł inny środek. Wszędzie na niewielkich podwórkach sterczą słupy, a na wysokości każdego piętra od słupa do słupa biegną ruchome sznury. Gospodyni z okna rozwiesza bieliznę na odpowiednim sznurze, przymocowywa, aby nie spadła i za pomocą przyrządu przesuwa. Wszędzie, gdzie spojrzę, powiewają takie białe sztandary. Widok ten naturalnie nie dodaje powabu, ale za to wybornie harmonizuje z beczkami i koszykami śmieci wzdłuż chodników.

New-York, w kolei powietrznej.

Kolej niesie mnie po tak zwanej *elevated railroad*, przerzynającej New-York, z prędkością nieznaną naszym pociągom błyskawicznym. Po jednej stronie ulicy wznosi się w pewnej od siebie odległości szereg pojedynczych słupów, niby nasze latarnie; na nich ze zdumiewającą śmiałością sztuka inżenierska rzuciła wązkie pomosty — słup u góry wypuszcza ramiona i obejmuje pomost w swoje żelazne uściski. Po drugiej stronie ulicy ciągnie się inny szereg słupów i przebiega po nich rząd wagonów w przeciwnym kierunku. Co kilka minut stajemy, kilkadziesiąt osób wysiada, tyleż wsiada, a wszystko trwa krócej, niż na stacyi tramwajowej w Warszawie. Mkniemy na wysokości pierwszego, względnie drugiego piętra, po jakiejś poziomo położonej drabinie, niepodobna bowiem znaleźć lepszego porównania. Teraz jesteśmy na poł w polu, ulice tutaj dopiero powstają. Drabina idzie na wysokości czwartego piętra, a nadto skręca się w postaci litery S. Czy mamy jechać po tej karkołomnej drodze? Jedziemy i do tego niemal z taką samą prędkością.

Jadę wciąż po *Avenue* — bądźmy amerykanami i skróćmy ten długi wyraz na dogodniejszy *Ave N. 9*. Przede mną nieustający szereg koszar, tej samej struktury, tej samej ceglanej barwy, *bussiness* bowiem uważa jako nieprodukcyjny wydatek tynkowanie domów i pozostawia cegle naturalny jej wygląd. Takiego szablonu i na tak wielką skalę nigdy nie zdarzało mi się oglądać w starej Europie. Czerwone mury, wązkie okna, ta sama architektura, wszystko to działa jakoś przygnębiająco. A jednak przejeżdżam przez dzielnicę zamożną! Mimowoli myśl moja świdruje te ściany, wciska się we wnętrza tych domów, szuka duszy ludzkiej i bada, jak owa pokrewna mi jaźń, chociaż w każdym człowieku odlana inaczej, czuć się musi w tym szablonie, gdzie nawet świątynie i przybytki sztuki są takimi samymi domami, bez oryginalności! Myśl cofa się, bo natrafiła na coś sobie obcego. Czy możliwą jest w tem morzu koszarowem jakaś ekstaza oryginalna, która podobnie odróżniałaby się swoją mocą i odmiennością od innych, jak domostwa zaułka średniowiecznego pomiędzy sobą? I nie wiem dlaczego, w hałasie dzwonków kolei, pędzącej ponad rzędami jednostajnych domów, w tem królestwie szablonu, gdzie człowiek jest na komornem w cudzych murach, spirytyzm stoi mi wciąż przed oczami. Zdaje się, dopiero teraz pojąłem istotę tych stukań, rozmów z duchami za pomocą obracających się stolików, gdzie nie ma ani odrobiny zachwytu mistycznego, a kumoszki wchodzą w stosunek z wielką Tajemnicą, jak gdyby to była sąsiadka, z którą trajkotać można całemi godzinami o cenie mięsa i brudnej spódnicy jakiejś nieobecnej przyjaciółki... Zresztą wszystkie pomniejsze dzielnice New-Yorku odznaczają się takim charakterem koszarowym. *Downtown*, stare miasto, składa się z ulic, idących różnie. Każda z nich ma swoje osobiste nazwisko i poniekąd w niem zawarła własne dzieje. *Broadway* swojem imieniem świadczy, że kiedyś była najszczerszą arteryę ruchu miejskiego, *Bowery* uwiadamia o swoim wygiętym kształcie, *Canal street* — o położeniu. Ale górne miasto milczy o swojej przeszłości. Może jej nie posiada. New York w tej stronie nie powstawał zwolna, ale wyrastał szybko. Człowiek z góry wyznaczył szemat dla swojej przyszłej siedziby i w braku podkładu dziejowego, który ochrzciłby tak lub inaczej ulice, wezwał na pomoc logikę. Z południa na północ wytknął długie a równoległe biegnące linie i ochrzcił je *avenues*, którym nadał nazwy liczbowe: *Ave 1,.. 12*, lub literowe: *Ave A... D.* Niektóre z nich posiadają po kilka tysięcy domów. Prostopadle do tych linij przeprowadził mnóstwo krótszych (mapa mówi, że jest ich z górą dwieście) i każdej nadał miano cyfrowe. Są to *streets 1, 10... 100...* Każdą z nich — mniejsza o zasadę — rozdzielił jeszcze na wschodnią i zachodnią. Adres brzmi węzłowato: 164 E st. 95, tj. dom pod numerem 164 na wschodniej części ulicy 95-ej. Nadto przy każdem przecięciu się takiej ulicy z jakiemś *Ave* numery domów zaczynają się od nowej setki. Słowem, wszystko ostrzyżone według tej samej modły. Chętnie jednak wybaczam te szablonowości; gotów jestem przystać na wszelką prostotę, aby tylko była środkiem do oszczędzenia niepotrzebnych wysiłków i tem samem umożliwiała większy rozkwit różnobarwności wewnętrznej. A szemat ulic należy do takich środków. Dziesięć minut uważnego badania pozwala mi oryentować się w przestrzeni, gdzie mieszka do miliona głów ludzkich. Wszakże szemat ten pozostaje tem, czem jest: żywym, a raczej martwym dowodem szablonowości życia nowoczesnego.

New York, na ulicy.

Reklama wszędzie! Ażeby dać wyobrażenie o jej rozmiarach, przytoczymy jeden fakt z wielu. Mnóstwo linij kolejowych, tak zwanych *elevated railroads*, przerzyna New York i Brooklyn, a wszystkie biegną na wysokości przynajmniej jednego piętra. Stacye są podwójne, a jest ich prawdopodobnie kilkaset. Do każdej stacyi prowadzą schody o kilkudziesięciu stopniach. Otóż na pionowej stronie każdego stopnia jest przybita duża, emaliowana deseczka metaliczna, niezmiennie polecająca jakiś proszek do pieczywa. Sądząc z obfitości stacyj i schodów, nie popełnimy błędu, jeżeli liczbę takich tabliczek ocenimy na sto tysięcy! Wprost niepodobna nie zwrócić uwagi na to ogłoszenie. Co do mnie, gdybym potrzebował kiedyś tego proszku, wprost machinalnie zażądałbym go od owej firmy. W liczbie reklam, które ciągną się na dachach, na murach, na rusztowaniach wzdłuż kolei zamiejskiej, spostrzegam też dzienniki. Wydawanie pisma w Ameryce wyzbyło się ze wszystkich ideologicznych osłonek, jakiemi lubi się jeszcze stroić w starej Erropie. Jest to *business*, niczem nieróżniący się od wyrobu proszku do pieczywa.

Ba, nietylko kazalnice publicystyczne są przytułkiem geszeftu. Z okna miejskiej kolei spostrzegam olbrzymią reklamę, w której jakaś świątynia obwieszcza, że nigdzie niema tak wzniosłego nabożeństwa. Obowiązki kapłańskie stały się za morzem taką samą profesyą, jak adwokatura lub pomoc lekarska u nas, wzajemna zaś konkurencya pcha duchowieństwo do reklamy. *A propos.* Przechodząc po *Ave 5* ujrzałem za ogrodzeniem jakąś gwardyę dzieciaków w błękitnych mundurkach wojskowych. Kilku szło na czele i bębniło z całej siły, jeden niósł chorągiew, reszta postępowała w zwartym szeregu z karabinami na ramieniu. Ten militaryzm chłopięcy, jawnie obliczony na to, aby zwracał na siebie uwagę, zdziwił mnie. Ciekawość wzrosła jeszcze bardziej, kiedy pomiędzy batalionami spostrzegłem kilka starych

wiedźm — takie było pierwsze wrażenie! — czarno ubranych, z czarnymi kapturami na głowie i czarnymi woalami na twarzy. Gwardya wyszła z ogrodu, przebyła wszerz ulicę i przy odgłosie bębnów zaczęła obchodzić sąsiednią świątynię okazałej budowy. Napis na bramie: *Catolic orphan house* wyprowadził mnie z niewiadomości. Wszystko to było również reklamą, obliczoną na zwabienie tłumów, zwłaszcza zaś na zainteresowanie młodego pokolenia! Dzieci tak lgną do mundurków, karabinów, bębnów, marszów! Wszak za pomocą parad i muzyki trzymano kiedyś w posłuszeństwie trzodę paragwajską...

3 czerwca, Newark, N. J.

Newark jest olbrzymiem „miasteczkiem“ — ludnością wyrównywającem Warszawie. Uliczki pełne śmiecia, bielizna wszędzie powiewa na różnej wysokości, ulice niekiedy niebrukowane, a na nich pełno dzieciaków; wszędzie domy drewniane, chociaż dwu lub trzypiętrowe. Nawet w zachodniej części czyni to samo wrażenie. Z okien kolei miejskiej owe liczbowe ulice przedstawiły mi się jako szereg koszar. Szablon ten nie nabiera zbliska różnobarwności, ale w każdym razie nie dowodzi, ażeby również życie domowe było koszarowem. Owe rzędy domów są zbiorem zwykle dwupiętrowych wązkich kamienic, do każdej prowadzi ganek, brama jest nieznaną, front ma dwa okna szerokości. Jest to naśladownictwo zwyczajów angielskich. Pojedyncza rodzina, najwyżej dwie zajmują taki domek.

4 czerwca, Brownsville, N. Y.

Brownsville jest żydowską kolonią w odległości godziny jazdy od New Yorku, liczącą kilkanaście tysięcy mieszkańców. Żeby dostać się do niej, musiałem przejeżdżać przez Brooklyn. Jaką ludność posiada to miasto obecnie, nie wiem; spis z r. 1890 podaje ją na 800 tysięcy. A jednak z każdego zakrętu wygląda wieś! Na zamożniejszych ulicach niskie, piętrowe, drewniane domki, na najgłówniejszych arteryach handlu trzypiętrowe, ale materyał zbyt często pozostaje ten sam — drzewo. Osobliwy to zaiste widok, kiedy rzędem z powietrznemi kolejami i światłem elektrycznem oko ogląda nieprzerwane szeregi wysokich drewnianych budynków. Śmiecie na ulicach, które często nie posiadają bruku, a obok latarnie elektryczne. Podwórzy prawie niema. Każda gospodyni w pewnych porach dnia wystawia w koszyku śmiecie przed domem na ulicy, a przejeżdżający wóz je zabiera. Przechodząc o godzinie południowej, widzisz przed każdym domem beczułki, skrzynki, kosze śmieci i odpadków kuchennych. Teraz, kiedy jestem w Brownsville, właściwości te występują jeszcze jaskrawiej, znalazły bowiem przewyborny grunt w nieczystości kultury żydowskiej.

Amerykanin nie ma czasu upiększać miasta. Nie jest to następstwem jakiejś wrodzonej nieczystości, ale tego, że życie rozwija się zbyt szybko. Brudy na Nalewkach i Gęsiej świadczą o nizkim poziomie potrzeb, amerykańskie o szybkim postępie i — czystości! Przekonywam się o tem w Brownsville. Kogoś poszukuję w tem miasteczku, ale nie mogę odnaleźć. Tylko co przeprowadzono w czystem niedawno polu kilka dziesiątków ulic i zabudowano je. Nie zdążono wystawić na rogach ani nazwisk ulic, ani pokryć ich brukiem, to też pośrodku ciągną się góry rupieci i kamieni. A jednak dano już chodniki; latarnie elektryczne rozpraszają mrok w nocy. Municypalność robi to, co jest najniezbędniejszem, resztę zaś odkłada na przyszłość. W tym widoku tkwi jakby klucz do zrozumienia całej kultury amerykańskiej. Brownsville jest niewykończonem miastem, podobnie cały związek północno-amerykański jest niewykończoną kulturą, niemającą czasu załatwić jednych spraw, gdy inne już żądają rozstrzygnięcia. Owo też codzienne wywożenie śmieci jest może w gruncie rzeczy środkiem bardzo rozsądnym. Wprawdzie nie mają powabu te koszyki stojące przed domem, ale po godzinie odpadki znikną w wozie — świeże. Lepiej to, niż gdyby gniły na podwórku, obłudnie okryte przed wzrokiem przechodnia i zarażały całemi miesiącami powietrze. Ameryka zerwała z estetyką i hypokryzyą, codzień wywozi legowiska bakteryi i usuwa źródło ukrytych zarazków.

Help yourself! Ulice Brownsville'a są przerznięte szynami w najrozmaitszych kierunkach, po nich wciąż pędzą pociągi. Żadnych ogrodzeń i szlabanów, a tuż na chodniku bawią się gromady dzieci!

5 czerwca, New York.

Zaznajamiam się zwolna z budownictwem amerykańskiem. Już kilka razy spostrzegłem pewne zwyczaje, które mojej głowie europejskiej wydały się na razie niezrozumiałymi. Poprawiają jakiś dom; cały parter jest zburzony, jedna lub dwie ściany wyjęte i tylko w kątach widać rzędy cegieł. A tymczasem na wyższych piętrach mieszkają ludzie i zgoła nie troszczą się o to, że pod ich stopami zburzono mury! Dzisiaj znalazłem wytłomaczenie tej zagadki. Na jednej z ulic zdaleka zobaczyłem olbrzymią klatkę trzypiętrową, składającą się z mnóstwa pomniejszych. Klatka ta była rusztowaniem przyszłego domu. Z odpowiednio przygotowanych prętów żelaznych amerykanie budują szkielet, a później obijają go w kierunku poziomym podłogami, w pionowym oblepiają i zakrywają murem.

* * *

New York, jeżeli usuniemy dzielnice żydowską, chińską itd., składa się z dwóch miast, zgoła do siebie niepodobnych. Jedno to znana już nam okolica, przerznięta przez ulice numerowane. Jedynie *avenues*, i to nie wszystkie, oddychają tam życiem — widnieją na nich sklepy sprzedaży detalicznej, jadą wozy, snują się ludzie. Tymczasem na *streets* panuje niczamącona cisza. Nigdzie sklepu, rzadko ujrzysz przechodnia. Inaczej dzieje się w *Down townie*. W pewnych godzinach dnia można w niem na niektórych ulicach dostać zawrotu głowy, takie masy istot ludzkich przepływają. Dolne miasto jest jednak miejscem tylko chwilowego pobytu, niby olbrzymim magazynem z mnóstwem oddziałów. Tłoczą się tam kantory wszelkiego rodzaju i składy hurtowe. Od piwnicy, jeżeli istnieje, aż do poddaszy wszystko zostało zajęte na cele przemysłowe. Tu i owdzie po nad zwykłymi domami wyrasta olbrzymi kilkunasto-piętrowy, wszystkie okna złocą się od napisów kantorowych. Przez długość całych ulic ciągną się nad chodnikami dachy, ulewa zatem nie wstrzymuje ruchu handlowego. O piątej, w soboty o dwunastej obraz nagle się zmienia; o tej godzinie bowiem zamykają kantory i składy hurtowe. Olbrzymie potoki ludzi odpływają z Down-townu. Mówią, że przez most brooklyński przechodzi wtedy do stu tysięcy osób. Wagony kolei powietrznej, tramwaje, chodniki są przepełnione. Po szóstej dolne miasto stoi pustkowiem, na ludnych niedawno ulicach zaledwie spotkasz przechodnia. Wszyscy prócz stróżów uciekli od *businessu* do swoich ognisk domowych w *Up-townie*, Brooklynie, Newarku, Hobokenie i in. miastach sąsiednich.

L. K.

POD NOWYM STEREM.

Utworzono przy ministeryum oświaty nową instytucyę sterniczą — departament, który się zajmie sprawami szkół fachowych. Tak zwane szkoły profesyonalno-techniczne były aż do chwili obecnej po za obrębem właściwego ministeryum, ich zaś rozwój i powstawanie zależały od bardzo różnorodnych wpływów i czynników, a nadzór niejednolity wcale nie oddziaływał dodatnio na organizacyę oświaty specyalnej. Dotąd jest ona w zarodku, a jej nazbyt powolny rozwój nie idzie w parze z potrzebami doskonalącej się wielkiej produkcyi. Podczas gdy za granicą przysposabianie jak największej liczby fachowców we wszystkich działach techniki uznano za najważniejszą dźwignię wielkiej wytwórczości, gdy się przekonano, że jedynie od armii odpowiednio uzdolnionych pracowników zależy potęga i postęp życia materyalnego, w państwie ruskiem środki wytworzenia tej dźwigni do obecnej doby zajmowały szczebel najniższy. Zwrócono na to uwagę już od lat kilku, ale opracowanie i wprowadzenie w życie przepisów o otwieraniu nowych szkół fachowych i osnucie ich programu według odpowiednich kategoryj — w praktyce wielkich rezultatów nie dało. Pozostawione prawo szerokiego działania „inicyatywie prywatnej“ niewielu zachęciło do otwierania niezbędnych zakładów. Utworzenie od tego czasu zaledwie paru szkół dowodzi braku zrozumienia tych potrzeb śród części ogółu, która, jak się zdawało, we własnym interesie powinna się przyczynić do organizacyi nauczania fachowego. Obecnie utworzony nowy organ sterniczy, który skupi w sobie wszystkie sprawy oświaty zawodowej, jest zapowiedzią zmiany.

Zobaczmy, jaki jest stan tego odłamu szkół według danych urzędowych, nagromadzonych przez komitet zjazdu profesyonalistów 1891 r. Z początkiem r. 1889 liczono w całem państwie szkół zawodowych 126, w których otrzymało wykształcenie 4,433 uczniów. W ciągu roku szkolnego 1888/9 zakłady te pochłonęły rs. 1,044,100 na wychowanie 6,088 uczniów, z których 4% stanowili pensyonarze. Oprócz tego istnieje 28 szkół z kursem ogólnie kształcącym, w szeregu zakładów naukowych miejskich i wiejskich z kursem dwuklasowym. (Zadaniem ich jest przysposabianie majstrów fabrycznych, mechaników niższych, maszynistów i rysowników). Do r. 1895 skończyło kurs tych szkół 1,615 uczniów. Wreszcie cyfry powyższe zaokrągla 29 szkół technicznych ministeryum komunikacyi, które w części są utrzymywane kosztem towarzystw kolejowych, w części kosztem rządu; zadaniem ich zaś jest przysposabiać niższych techników dla obsługi dróg żelaznych. Jak widzimy, cyfra zakładów profesyonalnych, tudzież ich wychowańców, bardzo skromnie się przedstawia. Liczba tych ostatnich nie przekracza nawet 6,000.

Zobaczmy teraz, w jakim stosunku liczebnym są uzdolnieni fachowcy do zakładów fabrycznych. Zjazd profesyonalistów wykazał, iż w całej Rosyi europejskiej przypada w przeciętnem obliczeniu *jeden* technik wykształcony na *dwie* lub *trzy* fabryki o obrocie rocznym 50,000 rubli. W 14,000 przedsiębiorstw, mających nie mniej niż po 10,000 rs. rocznego obrotu, było ogółem zaledwie 180 pracowników, którzy posiedli średnie wykształcenie techniczne. Inne dane urzędowe niemniej są wymowne i charakterystyczne. Z ogólnej liczby osób, zarządzających przedsiębiorstwami fabrycznemi, w 21,810 fabrykach i zakładach przemysłowych zaledwie 6,8% było kierowników, którzy otrzymali spe-

cyalne wykształcenie. Z tej wszakże liczby przeszło trzecią część stanowią cudzoziemcy. Reszta, tj. 93,2% nie miało technicznej, a nawet elementarnej wiedzy *).

O ile wnosić można, na te braki nowy departament zwróci właśnie uwagę i główną swoją dążność skieruje ku organizacyi nowych szkół, tudzież przekształceniu istniejących w ten sposób, ażeby odpowiadały istotnym potrzebom. Zasługują na uwagę w tym względzie życzenia *Birżew. Wiedomosti*: „Pożądane byłoby, ażeby na czele nowego oddziału ministeryalnego stanęła osoba obeznana z przemysłem Rosyi i jego potrzebami; w przeciwnym razie do nauczania fachowego wejdą szczątki klasycyzmu, które mogą być właściwe w ogólno-kształcących, nie zaś profesyonalnych zakładach naukowych.“ To samo pismo radzi otwierać takie szkoły przy wielkich fabrykach, wzorowo urządzonych według najnowszych wymagań techniki. Tym tylko sposobem uczniowie, po skończeniu kursu teoretycznego, mogliby z korzyścią przystąpić do zajęć praktycznych, w tym zakresie, w jakim ich szkoła przysposabiała. Wszelkie warsztaty, urządzane przy specyalnych zakładach naukowych, nie zawsze odpowiadają celowi. Zważmy, że przemysł fabryczny z każdym dniem się rozwija, że na swą korzyść bardzo skwapliwie wyzyskuje wszelkie zdobycze naukowe. Czy podobna zatem nawet przy szkole bardzo zasobnej stworzyć taki warsztat, w którym praktyka w całej rozciągłości przysposobiła ucznia do pracy w danej gałęzi wielkiej produkcyi? Za granicą takie połączenie teoryi szkolnej z praktyką fabryczną uznano za najkorzystniejsze zarówno dla młodzieży kształcącej się, jak i dla wytwórców, posługujących się jej pracą.

Dotąd, dzięki napływowi fachowców zagranicznych, produkcya maszynowa szybciej się u nas rozwija, niż pojęcia fabrykantów o czynnikach wpływających na jej szybki postęp i powodzenie. Nie zdają oni jeszcze sobie z tego sprawy, że utworzenie chociażby najkosztowniejszych szkół specyalnych przy fabrykach przyniosłoby im nieocenione korzyści, że przez to zdobyliby tanie a pożyteczne siły. Powinni oni szkoły profesyonalne traktować jako oddziały fabryk, przysposabiających materyał do dalszego rozwoju wytwórczości. Tak pojmują ową potrzebę nauczania na Zachodzie i dla tego bezpłatne kształcenie dzieci robotniczych przez fabrykantów od dawna nie jest uważane za objaw filantropii. Z braku właściwego ocenienia usług fachowców w przemyśle, dotąd drzemie u nas „inicyatywa prywatna“ w zakresie tworzenia szkół. Może, gdy pod naciskiem nowego departamentu pomoc przemysłowców w organizacyi specyalnych zakładów naukowych stanie się obowiązkową, przedstawiciele wielkiej produkcyi zrozumieją, o ile ten przymus podniesie wydajność ich przedsiębiorstw. Śmieszne jest przekonanie, że wychowańcy szkół fachowych nie mają u nas pola do pracy. Powyższe cyfry urzędowe wykazują, że jeszcze *tysiące* kierowników zakładów przemysłowych, odpowiednio uzdolnionych mogłoby znaleźć zajęcie, a iluż to potrzeba ludzi z wiedzą specyalną na inne podrzędniejsze stanowiska! Może w wielu razach staną na przeszkodzie inne zjawisko: ciemnota samych wytwórców (takich jest wielu), hołdujących rutynie i chodzącemu na ślepo samouctwu. Zapewne skutkiem tego wielu specyalistów, przysposobionych przez szkoły, znajdzie wstęp zamknięty do niektórych przedsiębiorstw; ale będzie to okres przełomowy. Wkrótce rozwój i doskonalenie się produkcyi (będącej w posiadaniu rozumniejszych przemysłowców) pod wpływem uczonych pracowników, otworzy tym ostatnim wszędzie pola działania. Groza zagłady przez doskonalszych pobudzi zacofańców do posługiwania się tymi samymi środkami. Co do nadprodukcyi fachowców i zatem szybkiego zniżenia wartości ich pracy, zawcześnie mówić o tem. Zanadto bowiem obszerne pola leżą odłogiem. Wiele gałęzi przemysłu dotąd zaledwie jest w fazie pierwotnej, jeszcze więcej powstać może nowych przy rozwoju istniejących.

Zen. Piet.

*) Dane te pochodzą z r. 1887.

PAMIĘTNIK.

Szanowna publiczność czyli tłum.

Rozważając źródła swego szczęścia, niżej... niepodpisany poczytuje za jedno z najgłówniejszych tę nieocenioną okoliczność, że on każdej chwili może być albo „znawcą“ sztuki i literatury, albo cząstką „szanownej publiczności,“ zależnie od tego, który tytuł w danym razie jest zaszczytniejszy. Bywa zaś rozmaicie. Tak np. jeżeli przedstawiona w teatrze komedya podoba się słuchaczom a zganiona zostanie przez krytykę, autor powiada: „sprawiedliwy sąd publiczności, która nigdy się nie myli, ocenił moją pracę; wobec tego lekceważę sobie zdanie stronnej, zawistnej i ślepej krytyki.“ Jeżeli znowu komedya zbudzi śmiech i sykania publiczności a zachwyty krytyki, autor mówi: „cenię wyrok światłych znawców a nie ciemnego tłumu, który, obdarty czy wystrojony, zawsze pozostaje tłumem.“ Otóż niżej... niepodpisany, spostrzegłszy, po której stronie lepiej stanąć, zalicza się albo do „światłych znawców,“ albo do szanownej publiczności. Po artykule p. H. Piątkowskiego w *Gazecie polskiej* należę do pierwszych. Autor ten bowiem, rozbierając wynik głosowania prenumeratorów *Tygodnika ilustrowanego* w świeżo zamkniętym konkursie malarsko-rysowniczym i uznając za najlepszy obraz p. Grocholskiego („Modlitwa żydów“), powiada: „Dzieło sztuki im jest subtelniejsze, im więcej w niem pierwiastków artystycznych, tem trudniej mu dostać poklask tłumu, znaleźć uznanie, stać się popularnem. Naginanie się zaś do poziomu szerszych mas, *uprzystępnienie*, że się tak wyrażę, sztuki, aby łatwiej zrozumianą i odczutą być mogła, nie leży w naturach artystów, idących drogą samodzielną ku osiągnięciu własnych swych ideałów.“ Dla p. Grocholskiego tedy i jego przyjaciół abonenci *Tygodnika* są „tłumem,“ niezdolnym odczuć „subtelniejszych pierwiastków artystycznych.“ Dla p. Alchimowicza zaś (który otrzymał największą liczbę głosów) z pewnością *vox populi Tygodnika* jest „głosem boskim“ a nagany krytyki objawem zawiści lub zaślepienia. Ponieważ nie każdy znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, co ja, tj. nie może wybierać sobie dogodniejszego stanowiska, a większość tworzy tylko cząstki ogółu, przeto w imieniu tej stroskanej i niewiedzącej, co trzymać o sobie, większości, pytam wszystkich, mogących dać gruntowną odpowiedź: czy masa, uczęszczająca na wystawy malarskie, do teatrów itd., jest szanowną publicznością i wysoką instancyą w sprawach artystycznych, czy też ciemnym tłumem? *N. N.*

Sposób na sposób.

Nie ma prawa przeciw złej woli, gdyż ona każde potrafi obejść. Warszawska filia Banku państwa daremnie od lat kilku walczy z kantorami biletów loteryjnych, chcąc ukrócić ich spekulacyę i ciągle bywa pokonywana. Pomimo najsurowszych i najściślejszych przepisów, każdy kantor nazajutrz po otrzymaniu biletów już ich nie ma, wszystkie są wyprzedane, wszystkie prawidłowo zaciągnięte do ksiąg — do żadnej nieformalności przyczepić się nie można. Czy zapobiegłoby złemu oddanie biletów loteryi instytucyom dobroczynnym — nie śmiemy twierdzić wobec tylu dowodów pomysłowości złej woli, która zawsze wynajdzie sposób na sposób.

Zresztą nadużycia w tej sprawie mniejszą mają dla nas wagę, niż w innej, w której również prawo okazuje się bezsilnem. Jak nauczyło doświadczenie wszystkich narodów, łatwiej wymyśleć telegraf, telefon, kierowanie balonami, statki podwodne, niż skuteczny środek przeciw lichwie. Dotąd nigdzie nie okiełznano jej skutecznie. Straszny ten pasorzyt toczy i nasz organizm. Nowe prawo (o którem niedawno pisaliśmy) podniosło znacznie stopień odpowiedzialności za operacye lichwiarskie. Ale cóż, zaledwie zostało ogłoszone, natychmiast znalazł się sposób na sposób. Według doniesień prasy, lichwiarze postanowili wypożyczać pieniądze pod postacią weksli za dostarczony towar, inni — dawać je będą tylko uzyskawszy *przedtem* wyrok doraźnej egzekucyi, inni wpadną z pewnością jeszcze na doskonalsze pomysły, słowem, pająki i muchy pozostaną w dawnym stosunku. Trudno zaprzeczyć, że obecnie te pająki prząść muszą swe sieci z większą ostrożnością i zachodem, ale dla ich ofiar skutek będzie jednaki, jeśli nie gorszy. A gdyby nawet sędzia znał i przy rozpoznawaniu sprawy miał na pamięci wszystkie podstępy i matactwa lichwiarzów, co może zrobić, jeśli ci obok dokumentu piśmiennego przedstawią jeszcze całą gromadę świadków, stwierdzających zasadność pretensyi? *A* pożyczył *B* 100 rs. wziął od niego weksel na 300, dochodząc zaś swego długu przyprowadzi nadto kilku świadków, którzy najuroczyściej przysięgną, że widzieli, jak *A* dawał *B* 300 rs. Poradź tu najmędrszy Salomonie? Ten zaś wypadek jest może zbyt prosty, może pomyślany przez nas zbyt niedołężnie, a ileż dowcipniejszych sposobów wyszuka sprytny lichwiarz! *W.*

Pożądany przewodnik.

Kuryer codzienny donosi, że u jednego z przemysłowców tutejszych zebrało się grono osób, które obradowało nad projektem wydania dziełka p. t. „Przewodnik dla rodziców, pragnących kształcić dzieci w zawodach rękodzielniczo-przemysłowych.“ Chodzi o to, że w różnych gałęziach rzemieślniczych wielu pracowników pozostaje bez zajęcia z powodu braku roboty, podczas gdy w innych dotkliwie uczuwać się daje brak rąk. W projektowanem wydawnictwie byłyby zamieszczone wszystkie rzemiosła alfabetycznie, każde oświetlone ze stanowiska ekonomiczno-statystycznego z wyszczególnieniem wysokości zarobków, ilości pracowników itd. Nie potrzebujemy wykazywać, jak dalece ta myśl jest dobrą i jak ów „Przewodnik“ byłby pożytecznym. Rzeczywiście istnieją u nas obok siebie dwa fakty sprzeczne: brak pracy i brak pracowników, będące wytworem nieznajomości stosunków ekonomicznych. Ażeby jednakże tego rodzaju „Przewodnik“ był rzeczywistym drogowskazem dla rodziców, pragnących swoje dzieci poświęcać rzemiosłu, nie może on być raz na zawsze lub na długo zatkniętym słupem, lecz zmieniać się odpowiednio do potrzeb. Te ostatnie bowiem nie objawiają się trwale, jednego roku może ujawnić się brak ślusarzów, a drugiego blacharzów, a „Przewodnik“ powinien te zmiany zaznaczać. I dla tego radzilibyśmy go wydawać w pewnych odstępach czasu, najwłaściwiej jako specyalny kalendarz przy *Gazecie rzemieślniczej*. W tej formie osiągnąłby on swój cel i oddał społeczeństwu rzeczywiste usługi.

Lecznicze znaczenie naszego kraju.

Jakże by życie ludzkie inaczej wyglądało, gdyby niem nie rządziły przesądy i roz-

maite sprężyny bezmyślnej próżności! Uwaga ta nasuwa się nam nieraz, a także po przeczytaniu rozprawy d-ra A. Sokołowskiego „Leczenie klimatyczne suchot płucnych.“ Autor zajmuje się różnemi postaciami i wyleczalnością tej choroby, przedstawia i ocenia stosowane dotychczas metody oraz główniejsze zakłady dla suchotników, rozbiera wpływ klimatów, wszystkie te wszakże, chociaż bardzo ważne i gruntownie traktowane zagadnienia nie należą do naszego pisma, więc też wywodów jego przytaczać nie będziemy. Zwrócimy tylko uwagę na jeden ustęp broszury, dotykający sprawy ogólnego znaczenia. Wszyscy chorzy na płuca marzą o tem, ażeby wyjechać gdzieś za granicę, do jakiejś słynnej miejscowości. Niewielu szczęśliwcom kieszeń nie stawia pod tym względem żadnych przeszkód; natomiast masa ludzi niezamożnych robi wysilek wielki i bezcelowy. Otóż zachodzi pytanie, czy po za obrębem kosztownych lecznic i „kurortów“ zagranicznych nie ma dla suchotników ratunku? Dr. S. obala ten przesąd. Zaznaczywszy, że w Anglii wielu klinicystów zaczęło leczyć klimatem swojskim, że podobny ruch objawia się w innych krajach, że według Hermana Webera „przez odpowiednie zużytkowanie warunków ziemi ojczystej w wielu wypadkach możemy osiągnąć te same wyniki, co i przez leczenie w odległych miejscach kuracyjnych,“ powiada: „Niestety, dotychczas nie powstał u nas ani jeden zakład na świeżem powietrzu, w którym mógłby znaleźć opiekę mniej zamożny suchotnik. Chorzy więc ci, dawnym zwyczajem zebrawszy, a nieraz wyżebrawszy u rodziny bardzo skromny fundusik, najczęściej 100—200 rs. wynoszący, udają się na lato do jakiejś renomowanej stacyi klimatycznej. Rzecz prosta, że funduszu ten wystarcza zaledwie na kilka tygodni (gdyż często jeszcze osobie chorej towarzyszy i zdrowa); chory przytem ogranicza się bardzo, je mało i w lichych restauracyach, mieszka źle i naturalnie w ogromnej większości przypadków powraca z utratą na wadze, nieraz i z pogorszeniem stanu miejscowego, a pieniądz, przeznaczony na ratowanie zdrowia, idzie zupełnie na marne. Chorym podobnej kategoryi, których naturalnie jest ogromna większość z liczby radzących się nas w kwestyi wyjazdów letnich, winno się bezwarunkowo zalecać leczenie klimatem naszym, którego warunki atmosferyczne nie są tak złe, jak to niektórym lekarzom zdawać się może. W kraju naszym posiadamy bardzo liczne, piękne i zdrowe miejscowości. Im dalej od wielkich miast, im większa głusza, tem i warunki lecznicze stają się lepsze i o wiele tańsze; należy tylko choremu dokładnie wyłożyć doniosłość długiego pobytu na świeżem powietrzu, określić ściśle, jak się leczyć powinien, wyłożyć doniosłość leczenia odżywczego, dobrej wentylacyi mieszkania itd., a nie ulega najmniejszej kwestyi, że nawet chory, rozporządzający małym stosunkowo funduszem, w głuchej wsi polskiej przebywszy kilka miesięcy, stanowczo większą odniesie korzyść, aniżeli z czterotygodniowego pobytu nawet w najbardziej renomowanej stacyi klimatycznej.“

Co do nas wierzymy temu najzupełniej. Naprzód widzimy często wymowne dowody praktyczne, a powtóre nie darmo człowiek pozostaje przez 20, 30 lub 40 lat pod wpływem fizycznych warunków pewnego miejsca. Jego organizm przystosowywa się do nich, umie przerabiać na swą korzyść ich naturę, tak, że gdy nagle przeniesiony zostanie w inne, całkiem odmienne, często pada ofiarą gwałtownego przełomu. Jeżeli góral na dolinach a mieszkaniec dolin w górach często traci dobre zdrowie, dlaczegóżby nie miał powiększać sobie choroby? Kto temu przeczy, niech przedstawi fakty, z doświadczenia wyciągnięte, gdyż tu sama teorya rozstrzygać nie może. Faktów zaś takich nie posiadamy, gdyż nie posiadamy odpowiednich lecznic krajowych. A czyż one nie dałyby się urządzić w wielu uroczych miejscach? Czy można wymagać lepszego składu warunków od tych, jakie ma Kazimierz nad Wisłą? Niedawno p. Jankowski opowiedział nam o N. Słupi w górach Świętokrzyzkich ładną prawdę, która wyglądałaby jak bajka, gdybyśmy nie wiedzieli, że cudownych okolic naszego kraju nie znamy i nie wyzyskujemy w celach leczniczych. Pędzimy jak stado owiec do „kurortów“ zagranicznych, ażeby w nich stracić pieniądze a często i zdrowie. Gdzie państwo byli? W Zoppot (broń Boże, w Sobocie!), w Landek lub Montreux... to brzmi dobrze. Ale gdyby ci państwo odpowiedzieli, że byli w Kazimierzu lub Nowej Słupi... fe! Tam chodzą i jeżdżą tylko biedni studenci. Przypuszczamy jednak, że gdyby lekarze w myśl d-ra Sokołowskiego zaczęli uzdrawiać chorych klimatem swojskim, niezawodnie powstałyby też odpowiednie zakłady, a może wkrótce niejedna pani, jeżeli nie z dumą, to bez wstydu powiedziałaby do swych znajomych: byłyśmy w Nowej Słupi!..

Antoni Bądzkiewicz.

Zmarł w Warszawie prawie w niedostatku. Życie przepracował ciężko na różnych polach, jako pedagog i pisarz. Ci jego uczniowie, którzy dojrzeli i umieją ocenić zasługi dobrych nauczycieli, złożyli mu na trumnę wieniec a w sercu zachowali wdzięczność. Język ojczysty i literatura były przedmiotem jego wykładów i studyów. Pozostawił po sobie szereg artykułów i większych rozpraw w czasopismach oraz kilka prac osobno wydanych. Z tych najobszerniejsza jest *Teorya poezyi w związku z jej historyą*, dwukrotnie drukowana (1867 i 1875). Swojego czasu był za tę książkę osaczony przez paru młodych i krewkich krytyków, którym odciął się w osobnej broszurze. Nie był to umysł pierwszorzędny, więcej erudyta, niż filozof, ale pracownik sumienny, w wiedzę bogaty i dobrej woli pełen. Należy mu się serdeczne wspomnienie.

Zadrzewianie dróg.

Czytamy w pismach: Zarządy gminne, pragnące zadrzewiać drogi (z wyjątkiem polowych) będą mogły korzystać z zagajników i szkółek leśnych ministeryum dóbr państwa, a w tym celu powinny się zwracać do zwierzchności leśnictw skarbowych. Płonki wydawane będą w ilości 300 pięcioletnich na jedną wiorstę drogi z corocznym dodatkiem w ciągu pierwszych lat trzech po 60 sztuk na miejsce tych, które uschną. Ponieważ wiadomość ta podana ogólnikowo mogłaby wielu w błąd wprowadzić, więc winniśmy dodać, że, jak słyszeliśmy, rozporządzenie takie rozesłane zostało dopiero do niektórych gubernii Cesarstwa. Nasze jednak Towarzystwo ogrodnicze powinno się postarać, ażeby również tutejsze gminy mogły korzystać ze szkółek rządowych dla obsadzania dróg. Jest to, niestety, prawdziwym i smutnym faktem, że lud nasz nie szanuje drzewek przydrożnych, ale trzeba tę jego ciemnotę pokonywać, a najskuteczniejszym ku temu środkiem byłoby zagajenie wielkich pasów, dokonywane pod opieką zarządów gminnych. Chłop nasz wykonywa to, co sam postanowił i ceni to, nad czem sam pracował.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Rynek cukrowniczy. Ogłoszono sprawozdanie syndykatu kijowskiego. Okazuje się, że w okresie r. 1892/3 nastąpiła znaczna zniżka produkcyi cukru, bo o 4,725,132 pudów mniej, niż w r. 1891/2. Wynik ten był spodziewany z powodu uszczuplenia plantacyi buraków o 17,804 desiatyn na 255,410 i niepomyślnego ich zbioru; to też spekulanci liczyli się z tem w handlu już w końcu lata r. z. i zdołali wkrótce podnieść cenę na giełdzie kijowskiej do 5,70 za pud mączki cukrowej, a w Warszawie do 3 rs. 95 kop. za kamień 24-funtowy. Sprzyjającym warunkiem dla tak znacznej zwyżki był nakaz syndykatu wywiezienia za granicę 3% norm konwencyjnych, wywołany obawą zniżki. Przekonano się jednak, że taka polityka, chociaż korzystna dla fabrykantów cukru, nie potwierdza jednak praw bytu syndykatu, który powstał jedynie celem zapobieżenia niepomiernej zniżce cen, a nie dla podbijania ich w górę. Na zebraniu więc przedstawiciele syndykatu w październiku 1882 r. w Kijowie postanowiono znieść na nowy okres obowiązkowy wywóz przewyżki po nad normę, pozostawiając każdemu fabrykantowi prawo wypuszczenia na rynek wewnętrzny całej ilości wyprodukowanego cukru. Pod naciskiem tej uchwały ceny zaczęły spadać, ale po upływie miesiąca znowu podniosły się do 5 rs. 35 kop. za pud mączki. Okazało się zatem, że produkcya miejscowa niezdolną jest nastarczyć zapotrzebowaniu po odpowiednio nizkich cenach, co wywołało wystąpienie ministeryum skarbu dla przeszkodzenia dalszej zwyżce. Obniżanie cła dowozowego okazało się niemożliwem z powodu uchwały Rady państwa, dozwalającej chwycenie się tego środka jedynie w wypadku wzniesienia się ceny mączki w Petersburgu od 6 do 6,50, a w Kijowie i Odesie od 5,50 do 6 rs.; rada więc, złożona z ministrów: dóbr państwa, spraw wewnętrznych i skarbu pozostawiła ministrowi skarbu prawo skupywania w ciągu kampanii 1892/3 r. cukru za granicą i sprzedawania go na rynkach wewnętrznych po 5 rs. 10 kop. za pud mączki na stacyach kolei kraju połudn.-zachodniego. Skutkiem tego ceny mączki cukrowej wahają się obecnie na rynku kijowskim około 5 rs. 10 kop. za pud, na warszawskim zaś doszły do 3 rs. 20 kop. za kamień 24-funtowy, czyli 5 rs. 33 k. za pud. Niżej tego poziomu spaść nie mogą. W okresie bieżącym wytworzono 24 $^1/_3$ mil. cukru, spożycie zaś w 1891/2 r. wynosiło 25 $^1/_2$ mil., tj. o 1 $^1/_6$ mil. więcej. Gdyby więc w r. b. spożycie nie wzrosło, tyle cukru należałoby przywieźć z zagranicy. Ale ono wzrasta; w r. 1881/2 wynosiło 16 mil., w 1890/1 — 23 $^1/_2$, a w roku 1891/2 dosięgło 25 $^1/_2$ mil. Jeżeli ilością zużywanego mydła można mierzyć poziom kulturalny kraju, to również miarą podobną może być i cukier. Według Neumanna-Spallarta w Anglii wypada na głowę ludności 22,6 kilogr. cukru, w Stanach Zjednoczonych — 17,6, w Belgii — 8,3, we Francyi — 7,8 i w Niemczech — 6,7; w Rosyi zaś około 3,6 kilogr. na każdego mieszkańca. Mniejsze spożycie mają tylko Włochy i kraje bałkańskie. Ze wzrostem kultury zwiększają się także i potrzeby kraju, a w państwie ruskiem rozwój taki odbywa się dość szybko; szereg budujących się kolei silnie pobudza ku temu. Ceny więc mogłyby wzrosnąć niepomiernie, gdyby niedobór produkcyi nie miał być pokryty dowozem mączki z zagranicy po 5 rs. 10 kop. za pud. Syndykat, zawiązany dla zapobieżenia swobodnej konkurencyi fabrykantów i zawaleniu rynku towarem doprowadził do położenia, wobec którego wytwórczość nie starczy na potrzeby spożycia i wywołał wmieszanie się rządu.

— Rozpoczęto narady nad ogólną rewizyę taryf zbożowych na kolejach. Roztrząsano dwie sprawy: Czy taryfy powinne być jednakowe zarówno przy dowozie zboża do portów i miejsc pogranicznych jak i wewnątrz państwa, czy też różne i na czem polegać ma różnica. Kwestyi tej nie rozstrzygnięto. Dalej zajmowano się pytaniem, czy należy ułożyć jednakową taryfę dla wszystkich towarów zbożowych, czy też można przyjąć wyższą od przewozu nasion oleistych i mąki, i niższą dla otrąb, kartofli i wycisków, i postanowiono zachować jednostajne taryfy dla wszystkich towarów zbożowych, zachowując ulgę jedynie dla wycisków. (*Mosk. Wied.*).

— Towarzystwo wzajemnego kredytu w Białymstoku likwiduje swoje interesy. Były one złe od lat już

dziewięciu, ale ze sprawozdań rocznych wypadało zawsze pewna ilość zysku. Obecny jednak dyrektor przedstawił na ogólnem zebraniu prawdziwy stan rzeczy, co wywołało ogólny popłoch. Ostatecznie postanowiono pokryć brak w stosunku 60% zobowiązań członków i dalszą działalność Towarzystwa zamknąć.

— Sąd handlowy uznał niewypłacalność Ruskiego Banku handlowego i komisyjnego i postanowił wyznaczyć dlań kuratorów przysięgłych, a dozór nad ich działalnością powierzyć jednemu z członków sądu.

O PRAWDĘ.

W nr. 27 *Prawdy* znalazłem krytykę książki mojej p. t. „Duch i materya," napisaną przez p. Władysława Kozłowskiego ze Lwowa, a zauważywszy w niej pewne niedokładności, uważam za stosowne odpowiedzieć na zarzuty nieuzasadnione.

Szablonowość krytyka polega na tem, iż widocznie traktuje on filozofię jako specyalną umiejętność, zapominając, że każda droga prowadząca do prawdy, albo przynajmniej zmierzająca ku niej, jest dobrą, byle znów nie była zbyt długą i zawiłą. Krytyk, wskutek zapewne długiej na tem polu działalności, wykroił wzór, podług którego grupować by się powinny zasady i pojęcia filozoficzne.

Filozofia nie jest umiejętnością. Jest ona rozumowaniem, mającem na celu wykrycie względnej lub bezwzględnej prawdy. Naprzykład pojęcie skończonej przestrzeni, pojęcie czasu, są to prawdy względne; pojęcie np. nicości jest prawdą bezwzględną. Badanie przyrody i praw nią rządzących doprowadza nas do wytwarzania szeregu zasadniczych pojęć, które nazwać by można jednostkami myśli. Chcąc zmierzyć pewną przestrzeń, używamy do tego jednostki tejże przestrzeni; chcąc pojąć pewną prawdę, używamy jednostki myśli, czyli, pojęciami wdrożonemi nam *a priori* posługujemy się w celu zrozumienia nowej prawdy. Na jakiej zasadzie np. rozumiemy prawdę A? Na tej, że składa się ona z dwu znanych nam już prawd, B i C, które są pewnikami.

Powyższe rozumowanie uwidocznione jest jasno w mojej książce. Krytyk więc myli się, mówiąc, że „taka swoboda myślenia, niezwiązanego żadnemi z góry narzuconemi wymaganiami...", bowiem wymagania te—jako pewniki—uwzględnić musiałem i uwzględniłem. Prawdopodobnie tedy krytyk przeoczył to w mojej książce.

Prawdy zasadnicze, jednostki myśli, o których była mowa powyżej, otrzymujemy bądź pośrednio, badając już istniejące dzieła filozofów, bądź bezpośrednio — badając dzieła przyrody, która jest księgą prawd, otwartą dla wszystkich. — Jedną z nauk ściśle ufundowanych na prawach przyrody jest matematyka. Nie należy więc traktować jej lekceważąco, jak to czyni krytyk, bowiem ona, jako wynikła ze skojarzenia prawd absolutnych, do pojęcia innych prawd absolutnych doprowadzić nas może. Każdy z filozofów był matematykiem-przyrodnikiem.

Krytyk przytacza jako rzecz godną śmiechu moje „demonstracye" matematyczne, nie wnikając w nie głębiej i nie objaśniając ich wcale. Któż bowiem z jego argumentacyi zostanie przekonany, że część nieskończoności nie jest nieskończonością? Krytyk w słowach: „Jaką zaś subtelnością i głębokością odznaczają się rozumowania autora..." śmieje się z tego pewnika matematycznego, którego owej „subtelności i głębokości" nie chce zrozumieć.

Jako dowód, że matematyka rozwiązuje niejedną kwestyę filozoficzną, może posłużyć następujący przykład, zamieszczony w mojej książce:

P. Czy materya jest nieskończoną, tj. czy punkt materyalny może istnieć w nieskończoności?

O. Punkt materyalny, czyli punkt *wyznaczony*, nie może istnieć w nieskończoności.

Dwie proste przecinające się *wyznaczają* punkt. Jedna z nich obraca się naokoło stałego punktu tak, że punkt przecięcia zmienia swoje położenie. Kiedy powyższy punkt znajdzie się w nieskończoności? Wtedy, kiedy prosta ruchoma stanie się równoległą do nieruchomej. Gdzież wtedy jest ich punkt przecięcia, czyli punkt *wyznaczony*? Odsuwając się coraz dalej — znalazł się w nieskończoności. Czy dwie proste równoległe przecinają się? Nie. A więc punktu *wyznaczonego* w nieskończoności *niema*. A więc punkt materyalny tamże istnieć nie może.

Otóż to jest jedna z wyśmianych przez krytyka „demonstracyj" matematycznych.

W książce mojej przytoczyłem założenia Kanta, idąc za przykładem Langego. Krytyk osądził, że to jest zbyt mało. Powiada bowiem tak: „Autor, wychodząc z założeń Kanta, o którym wie tyle tylko, ile mógł się o nim dowiedzieć z *Historyi materyalizmu* Langego..." Stąd wynika, że i Lange zbyt mało i powierzchownie studyował Kanta. A przecież Lange studyował go *prawdopodobnie* ściśle, nie uznał jednak za stosowne wyszczególniania bez względu wszystkiego, co Kant napisał. Zdaje się, że to nie potrzebuje komentarzy.

Oryginalną jest następująca wzmianka krytyka: „Dość mieć trochę fantazyi, wielką pewność siebie i odrobinę wiadomostek z różnych gałęzi wiedzy..."

Trochę fantazyi — za mało; wielka pewność siebie — za dużo, wystarczy tylko *pewność siebie*, ugruntowana na ścisłem rozumowaniu; a co do odrobiny wiadomostek... właśnie tyle, ile potrzeba.

Nie zaprzeczam, że mogłem popełnić w mojej pracy pewne błędy, na stronicy jednak 78, wiersz 16, czytelnik znajdzie następujące zdanie: To „ty" — to „ja"; patrz jaki ja jestem; patrz na mą działalność, *wydaj sąd — raczej bądź mi pomocą.*

Krytyk ten ustęp przeoczył *).

Feliks Wiśniewski.

*) Zastrzegamy sobie możliwość odpowiedzi naszego lwowskiego współpracownika.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

— *Prawit. Wiestnik* załącza tekst rozporządzenia o utworzeniu w Rzymie posady agenta do spraw rzymsko-katolickich: „Postanowiono: 1) Utworzyć przy ministeryum spraw wewnętrznych w departamencie obcych wyznań posadę agenta do spraw duchownych rzymsko-katolickich w Rzymie z rangą V-ej klasy i pensyą 1,500 rubli w złocie. 2) Pan minister spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem spraw zagranicznych opracują instrukcyę i określą prawa i obowiązki wymienionego agenta. 3) Roczny wydatek w ilości 1,500 rubli na pensyę dla agenta pokryty będzie z procentów od kapitału pomocniczego duchowieństwa rzymsko-katolickiego." Rozporządzenie to zostało Najwyżej zatwierdzone.

— W *Prawit. Wiest.* umieszczono: „Wychowaniec klasy V-ej pskowskiego seminaryum duchownego, Włodzimierz Hiacyntow, uwolniony na kuracyę z powodu choroby nóg, po wyjściu z kliniki przybył do mieszkania oberprokuratora najświętszego synodu w Carskiem Siole w charakterze petenta i dopuścił się zuchwalego zamachu na życie K. P. Pobiedonoscewa. Powstrzymany w porę przez znajdującą się w pobliżu służbę — oddany został w ręce sprawiedliwości."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, obostrzające przepisy w sprawie ochrony lasów przy plantach kolejowych od pożarów, powstających z przyczyny wypadania iskier z lokomotyw. (*Birż. Wied.*).

— Na mocy przepisów, ogłoszonych w *Praw. Wiest.* zarządzanie sprawami duchownemi ormian katolików w kraju zakaukazkim powierzono biskupowi w Tyraspolu. Bezpośredni zarząd będzie należał do urzędu duchownego rz. kat. w Tyflisie, wyznaczonego w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych. Kościoły rz. kat. nie mogą być wznoszone bez Najwyższego zezwolenia.

— Przybyć ma do Warszawy delegat ministeryum spraw wewnętrznych dla zbadania spraw filantropii i jeżeli będzie możebne, otwarcia nowych domów zarobkowych, celem położenia tamy żebractwu. (*Warsz. Dniew.*).

— Tragarzom warszawskim nakazano noszenie ubrania według jednego wzoru (z szarego drelichu) i wyznaczone będą stacye, gdzie powinni być rozmieszczeni w odpowiedniej ilości, stosownie do ruchu i miejscowych warunków.

— Wydano rozporządzenie, aby wszyscy kucharze i ich pomocnicy o ile nie są zapisani do cechu kucharskiego, wyrobili sobie książeczki służbowe, bez których nie mogą być przyjmowani do służby.

— W Prusach zachodnich sprzedano komisyi kolonizacyjnej dobra rycerskie Waldowo pod Złotowem, wynoszące 1,000 hektarów, należące do Antoniego Graeve, brata posła z Orchowa. Przed kilku laty Graeve sprzedał tejże komisyi 2 wsie.

— Sąd karny w Kartuzach, uwolnił nauczyciela, niemca, oskarżonego o pobicie ze śmiertelnym skutkiem ucznia, niemogącego się z nim porozumieć. Brakło odpowiednich świadectw lekarskich, stwierdzających związek śmierci z pobiciem.

— Górnicy angielscy przygotowują się do powszechnej zmowy z powodu obniżenia płacy.

Szkoły. W r. b. będzie otwarta w Warszawie szkoła mająca przysposabiać do korpusu kadetów (*Warsz. Dniewn.*).

Sprawy kolejowe. Ma się odbyć konferencya z udziałem delegatów zagranicznych w sprawie uregulowania rozkładu jazdy kolei w ten sposób, ażeby w ciągu całego roku pozostawał bez zmiany i żeby pociągi łączyły się ze sobą bez dłuższych postojów.

— Zarząd drogi żel. Iwangrodzko-Dąbrowskiej, dla osób udających się na kuracyę do Czarnieckiej Góry, zniżył ceny biletów pasażerskich i bagaży o 50%.

— Ruch towarowy na kolei Dąbrowskiej wzmógł się o tyle, że musiano wypożyczyć od kolei Warsz.-Petersb. 100 wagonów.

— Na kolei Terespolskiej główniejsze stacye mają być połączone telefonami dla użytku służby.

Zdrowie publiczne. Wypadki zachorowań i śmierci na cholerę w drugiej połowie czerwca zaszły w gub. orłowskiej, stawropolskiej, kurskiej, besarabskiej, podolskiej, saratowskiej, tulskiej, wiackiej, chersońskiej i obwodzie kubańskim. Najsilniej epidemia przejawiła się w gub. podolskiej, gdzie od 18 do 24 czerwca zachorowało 301 i zmarło 100 osób, a następnie besarabskiej, gdzie w tymże czasie zach. 35 a zmarło 15. Wypadki podejrzane o cholerę zaszły w gub. moskiewskiej, penzeńskiej i symbirskiej. Za granicą niewygasłe jeszcze lub zarodkowe ogniska cholery dają się również spostrzegać. We Francyi najsilniej zaatakowanym punktem jest Marsylia, gdzie codziennie zachorowywa około 20 osób; w innych zaś miejscach, jak Paryż (przedmieście Clichy), Tulon, Irun (pogranicze hiszpańskie) było zaledwie po kilka określonych lub wątpliwych zasłabnięć. Podejrzane wypadki zdarzyły się także w Beczu (Siedmiogrodzie). W Europie epidemia przejawia się jeszcze jako echo przeszłości lub pogróżka na przyszłość, ale główny jej punkt ciężkości przeniósł się na Wschód. W Dżeddah w ciągu dnia zmarło 490 ludzi, w Mekce zaś 260, a przez tydzień 4,079. Pielgrzymki do miejsc świętych przyczyniają się do rozszerzenia zarazy. Na okręcie wiozącym 850 pielgrzymów tureckich wybuchła cholera; podejrzane wypadki były także na egipskim okręcie, wiozącym 500 pielgrzymów.

Bibliografia. H. Gliński, *Pogadanki o teatrze*, str. 200. Petersburg.

— I. P. *Kallay o Andrassym*, str. 74. Petersburg.

— K. Morawski. *Cesarz Tyberyusz*, str. 69. Petersburg.

— R. Kiplyng, *Nowele*, str. 60, Petersburg.

— H. Lisicki, *Napoleon III i Włochy*, str. 190. Petersburg.

Zmarli. Ks. Stolarczyk, proboszcz Zakopanego, któremu miejscowość ta i kultura okolicznych górali wiele zawdzięcza.

— Guy de Maupassant słynny powieściopisarz francuski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi. Tu nie może być żadnego sporu. *Sundary Times* znaczy po polsku tylko: *Czas niedzielny* (jest to tygodniowe wydanie znanego dziennika *Times*), a nie — jak wydrukowała owa gazeta — *Tamiza niedzielna*. Zresztą Tamiza jest po angielsku *Thames*.

Bolesławowi. Wyznajemy szczerze, iż urywek Pański sprawia wrażenie komiczne. Wygląda on tak, jak gdyby ktoś z pistolecikiem powietrznym wyzwał do walki piorun. Tylko geniusz Mickiewicza zdołał się ustrzedz śmieszności w podobnym wypadku. Nie trzeba go naśladować.

N. S. Oprócz złorzeczeń powierzchownego pesymizmu nic więcej w Pańskiem wyznaniu wiary niema.

Gazeta Polska

zawiadamia czytającą publiczność, że w lipcu r. b. rozpocznie się na szpaltach tego dziennika druk *nowej dwutomowej powieści* ***Henryka Sienkiewicza*** p. t.

„Rodzina Połanieckich,"

której wyłączne prawo przedruku „Gazeta polska" nabyła od „Biblioteki warszawskiej."

Z wyjątkiem „Biblioteki warszawskiej" i „Gazety polskiej" żadne inne pismo w kraju ani za granicą powieści tej przedrukowywać nie będzie.

Oprócz „Rodziny Połanieckich" Sienkiewicza posiada „Gazeta polska" do druku powieść J. I. Kraszewskiego (na rok przed śmiercią napisaną) p. t. „Nera" i powieść Mańkowskiego p. t. „W czepku urodzeni."

„Gazeta polska" w każdym numerze zawiera trzy, często cztery artykuły, traktujące o sprawach aktualnych z zakresu polityki, literatury, sztuki, nauki.

„Gazeta polska" oprócz korespondentów krajowych utrzymuje 12-tu stałych korespondentów w głównych ogniskach życia Europy.

„Gazeta polska" posiada bogaty dział depesz.

„Gazeta polska" podaje nadto wiadomości sportowe, kursa giełdy, ceny produktów rolnych, meteorologię.

Zwraca się uwagę na użyteczność ogłoszeń drukowanych w „Gazecie polskiej."

Cena „Gazety polskiej" w Warszawie kop. 75 miesięcznie, na prowincyi rs. 3 kwartalnie. Adres: Warecka nr. 14.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Іюля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.